



*Patricia Gardner
Evans*



*Na drugim brzegu
tęczy*

SOBOTA

- Nie żyje?

Bess Hilliard zerknęła na trzech chłopców, których minęła tuż przed tym, jak na jezdnię wypadł kot. Biegli szybko w jej kierunku.

- Żyje! - krzyknęła i popatrzyła na drobne ciało leżące wśród chwastów.

To był szary pręgowany dachowiec, bejsbolowy kot, jakich wiele. Jego bezwładnym ciałem wstrząsnął nagły dreszcz i w tej samej chwili przestał oddychać. Bess nie zdawała sobie sprawy z tego, że ona również wstrzymała oddech i odetchnęła dopiero wtedy, gdy kotek znów się poruszył.

Chłopcy stłoczyli się z drugiej strony zwierzęcia. Mieli zapewne jakieś dziewięć albo dziesięć lat. Wszyscy trzej ubrani byli w wypłowiałe podkoszulki, krótkie spodenki i bejsbolowe czapeczki.

- Myśli pani, że on umrze?

W ich głosach Bess wyczuła zarówno szczere współczucie dla zwierzęcia, jak i dyktowane ciekawością oczekiwanie, że kot istotnie wyzionie ducha. Normalna reakcja dzieci w sytuacjach, gdy dzieje się coś strasznego i niezwykłego.

- Nie wiem - odparła. - Nie wiem, jak bardzo jest ranny.

Spojrzeli na nią z tą typową, niezachwianą pewnością dzieci, przekonanych o tym, że dorosły wszystkim się zajmie. Jak dotąd ośmieliła się jedynie zerknąć na kota, ponieważ na sam widok krwi, nawet kilku kropli, robiło jej się zawsze niedobrze.

Starając się zapomnieć o ogarniających ją mdłościach, zmusiła się, aby jeszcze raz spojrzeć na biedne stworzenie.

Całe szczęście nie było krwi. Bess westchnęła z ulgą i przeczesła palcami gęste futerko.

- Tamten facet nawet nie zwolnił - w głosie jednego z malców słychać było bezbrzeżne zdumienie.

- Może nie wiedział, że coś przejechał - zauważył jego kolega.

Pewnie, że wiedział, pomyślała Bess. Kierowca samochodu jadącego przed nią nacisnął na ułamek sekundy hamulce, lecz zaraz momentalnie przyśpieszył. Wiedział. Nie mogła winić go za to, że nie zauważył szarego kotka, który bez ostrzeżenia rzucił się na jezdnię, ale to, że nawet nie zwolnił, nie mówiąc już o tym, że nie zatrzymał się, aby sprawdzić, czy może jakoś pomóc zwierzęciu...

To było niewybaczalne.

- Nie wiecie, do kogo należy, prawda? - Wcale tego nie oczekiwała. Gdyby wiedzieli, wspomnieliby o tym. Jednoczesny ruch głów wszystkich trzech chłopców utwierdził ją w tym przekonaniu.

Kiedy ostrożnie układała kota na drugim boku, dostrzegła, że to samiec. Pomyślała, że przynajmniej stadko małych, bezradnych kociąt nie czeka w tej chwili na powrót mamy.

Widok krwi sprawił, że natychmiast przestała zastanawiać się nad płcią zwierzaka. A więc jednak była krew - jaskrawoczerwona, gęsta, sącząca się z jakiejś ukrytej w sierści rany. Z ust chłopców wyrwało się pełne przejęcia sapnięcie. Bess poczuła ucisk w żołądku, zaczęła więc głęboko oddychać. Nie zastanawiając się nad tym, co być może za chwilę zobaczy, natychmiast przystąpiła do poszukiwania rany.

Chwilę później przysiadła na piętach i z roztargnieniem wytarła poplamione krwią palce w beżową płócienną spódnicę.

Nie miała pojęcia, skąd wzięła się ta krew. Nieoczekiwany, zimny powiew wiatru sprawił, że zadrżała. Niedawna burza ochłodziła powietrze, zresztą wydawało się ono jeszcze zimniejsze przez kontrast z upałem panującym w Bostonie, który opuściła zaledwie kilka godzin wcześniej. Wiatr znowu zawiał, a wtedy kot również zadrzał. Bess przypomniała sobie o swetrze, leżącym na tylnym siedzeniu samochodu.

- Czy któryś z was mógłby przynieść z auta mój sweter? - poprosiła.

Wszyscy trzej rzucili się do samochodu, lecz kiedy Bess owinęła kota w sweter, zdała sobie nagle sprawę z bezużyteczności tego gestu. Tu trzeba było czegoś więcej.

- Muszę zawieźć cię do lekarza, nieboraku - mruknęła i podniosła ostrożnie ranne zwierzątko. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie zrobi przy okazji więcej szkody niż pożytku.

- Tu niedaleko mieszka weterynarz - odezwał się jeden z chłopców.

- Tak, jeszcze przed strumieniem - dodał inny.

- Którędy mam jechać? - spytała.

- Tędy. - Trzeci machnął dłonią w kierunku, w którym właśnie jechała.

Nagle Bess uświadomiła sobie, że jest sobotnie popołudnie.

- Pewnie nie będzie otwarte - westchnęła.

- Tam jest zawsze otwarte - zapewnił ją najwyższy chłopiec. - On tam mieszka, w takim wielkim białym domu. Jest jeszcze stodoła i strumień. Na pewno pani nie przegapi.

Kiedy „niedaleko” okazało się być paroma dobrymi kilometrami, Bess zaczęła się zastanawiać, czy to ona przeoczyła dom, czy też chłopcom pomieszały się kierunki.

- Trzymaj się, kolego - mruknęła i poprawiła sweter na leżącym obok kocie. Skoncentrowawszy się znowu na drodze, zerknęła na zegar przymocowany do szyby.

Za piętnaście minut Keeley otrzyma złoty kluczyk, który Barlett College wręczało corocznie najbardziej zasłużonej absolwentce, zaś jej tam nie będzie, aby cieszyć się z sukcesu dawnej koleżanki z akademika.

Ceremonia ta była częścią corocznego zjazdu absolwentów, a właściwie absolwentek, jako że Barlett College było szkołą żeńską. Początkowo Bess nie miała zamiaru poświęcać mu więcej uwagi niż innym tego rodzaju uroczystościom, jakie odbywały się regularnie w ciągu piętnastu lat, które minęły od ukończenia szkoły i zdobycia dyplomu. Jednak tym razem Bess musiała przyjechać - nagroda dla Keeley była naprawdę ważna.

Obiecała więc koleżance, że oczywiście przyjedzie, zanim jeszcze sprawdziła swój rozkład zajęć. Keeley, jako niestrudzona sponsorka rozmaitych przedsięwzięć i akcji organizowanych przez dawną uczelnię, rzeczywiście zasłużyła sobie na to wyróżnienie. Zasłużyła też na to, aby w tej ważnej chwili otaczały ją osoby, które były jej bliskie.

Gdybym się nie zatrzymała, już byłabym na miejscu, pomyślała i natychmiast wyciągnęła rękę, aby pogłaskać kota po łebku. Jak mogła przyjść jej do głowy tak nikczemna myśl? Przecież Keeley zrozumie, dlaczego nie zjawiała się na uroczystości. Dobrze, że przynajmniej będzie tam Abby, druga współlokatorka.

Zatrzymując się przy potrąconym przez samochód kocie, Bess zachowała się w sposób dla siebie typowy. Kiedy trzeba było komuś pomóc, działała pod wpływem impulsu. Dlatego właśnie obiecała Keeley, że zjawi się na zjeździe. Obie decyzje podjęła bez typowej dla siebie w innych sytuacjach powściągliwości i rozważania wszystkich za i przeciw. Kierowała się odruchami, gdyż zdążyła się już przekonać, że zbyt długo odwlekane decyzje niekoniecznie mają miłe konsekwencje.

Za zakrętem ujrzała wreszcie duży, biały dom.

Był to budynek wiejski, typowy dla stanu Massachusetts - stary, jednopiętrowy i masywny. Za nim znajdowała się stodoła, a jeszcze dalej droga przecinała niewielki mostek, pod którym zapewne płynął wspomniany przez chłopców strumień.

Znak przy wjeździe na posesję poinformował ją, że trafiła pod właściwy adres. Pod nazwą „Klinika weterynarii” widniało nazwisko „W. Shedd” wraz z odpowiednimi tytułami naukowymi. Bess wjechała na podwórko i zatrzymała swój samochód za starym terenowym autem - jedynym pojazdem, jaki znajdował się w pobliżu. Bagażnik wozu był otwarty, w środku zaś stało kilka puszek z farbą, której kolor był identyczny z tym, którym pomalowano właśnie tylną część domu.

Bess z niepokojem otworzyła drzwi swojego samochodu. Wbrew zapewnieniom chłopców, wyglądało na to, że urzęduje tu raczej malarz, nie weterynarz.

Z tyłu domu znajdowała się zacieniona weranda. Postanowiła zostawić na chwilę kota i pośpieszyła w tamtym kierunku. W ostatniej chwili zauważyła leżącą w trawie drabinę i omal się o nią nie przewróciła. Zaklęła pod nosem, a wtedy na stopniu werandy pojawił się niedbale ubrany mężczyzna.

Zatrzymała się nagle i spojrzała na nieznanego. Jego pojawienie się wstrząsnęło nią, zwłaszcza że nie widziała go, gdy wjeżdżała na podwórko. W dłoniach trzymał mokry pędzel i puszkę farby, za nim zaś stała kolejna drabina. Nagie Bess zrozumiała, dlaczego go nie widziała. Malował ścianę w rogu i dokładnie skrywał go cień.

Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to imponujące rozmiary mężczyzny. Miał na sobie stare dzinsy z dziurami na kolanach oraz równie stary podkoszulek o wystrzępionych rękawach. Jego twarz skryta była w cieniu czapeczki z daszkiem, Bess dojrzała jednak jednodniowy zarost i bardzo niezadowoloną minę.

Ilość farby na ubraniu mężczyzny wskazywała na to, że był raczej amatorem niż profesjonalnym malarzem. W innych okolicznościach widok ten wydałby się jej może zabawny, ale w obecnej sytuacji, nawet pominiawszy rozmiary nieznanego oraz jego pełne niezadowolenia milczenie, nie dostrzegła w nim nic śmiesznego.

Odruchowo zrobiła krok do tyłu, a on obrzucił ją uważnym spojrzeniem, nieco dłużej zatrzymując wzrok na wysokości jej bioder. Niepokój Bess zastąpiło zniecierpliwienie.

- Czy jest tu weterynarz? - zapytała.

- A co się stało? - usłyszała w odpowiedzi.

- Przywiozłam kota, którego potrącił samochód. Nie mogę zlokalizować rany, a zwierzak jest nieprzytomny i bardzo krwawi. - Ku swojej irytacji, zauważyła, że w jej głosie słychać niepokój, nie zaś, jak pragnęła, opanowanie i pewność siebie.

Mężczyzna odłożył puszkę i pędzel, kiwnął głową i ruszył w kierunku samochodu. Robił tak duże kroki, że Bess musiała podbiec, by za

nim nadażyć. Kiedy otwierał drzwi po stronie pasażera, przestraszyła się, że wyciągnie kota z samochodu, więc złapała go za ramię.

- Ostrożnie! - wykrzyknęła. - Może mieć obrażenia wewnętrzne.

Tylko weterynarz...

- Ja jestem weterynarzem - przerwał jej.

- Och...

Nie była to zbyt inteligentna odpowiedź, ale Bess wątpiła, czy ten człowiek w ogóle ją słyszał. Mówił z takim samym roztargnionym zniecierpliwieniem, z jakim strząsnął rękę z jej ramienia. Chwilę później przykucnął i delikatnie rozwinął sweter.

Przelotny kontakt z ręką nieznajomego zrobił na Bess niemałe wrażenie. Przez chwilę czuła ciepło jego skóry oraz silne mięśnie, które zagrały na jego żyłastym przedramieniu.

Gdy mężczyzna zaczął badać kota, Bess odruchowo przysunęła się bliżej. Jego dłonie upstrzone były farbą, podobnie jak paznokcie. Wydawało się, że takie wielkie, niezgrabne łapy potrafią jedynie zadawać ból, a jednak kiedy ujął w nie zwierzę, nie miała wątpliwości, że naprawdę jest weterynarzem. Dotykał kociaka tak delikatnie, że w porównaniu z jego gestami jej wcześniejsze oględziny mogły wydawać się brutalne.

Kiedy odwrócił ku sobie głowę zwierzaka, Bess odruchowo uciekła spojrzeniem w bok. Zaczęła się zastanawiać, co też może oznaczać skrót „W.” przed jego nazwiskiem. William? Bill? Oba te imiona niezbyt do niego pasowały. Usłyszała, że wstaje, i cofnęła się, gdy na nią spojrział.

- Będę wiedział więcej, kiedy go prześwietlę, ale z pewnością ma wstrząs mózgu. Poza tym prawa przednia łapka jest złamana - powiedział i ruszył w stronę domu, a ona pokiwała głową i posłusznie podreptała za nim.

Will puścił ją przed wejściem przodem i obserwował, jak ta elegancko ubrana samarytanką wbiega po schodkach, żeby otworzyć drzwi frontowe. Nie był specjalnie zadowolony, kiedy zobaczył nadjeżdżający samochód, a jeszcze mniej, kiedy wysiadła z niego kobieta. Miał nadzieję, że zdąży dzisiaj zakończyć malowanie. Po czterech dniach pracy nie uśmiechała mu się nieoczekiwana przerwa i perspektywa piątego dnia, spędzonego na czynności, której szczerze nie znosił.

I właśnie wtedy zobaczył krew. Kobieta miała na sobie szykowny strój, przez co ciemne plamy zaschniętej na ubraniu krwi robiły jeszcze większe wrażenie. Przez chwilę ogarnął go strach, że to może być jej krew. Popatrzył z niepokojem na ślady trawy i błota na jej kolanach, a wówczas ona zapytała o weterynarza. Od razu poczuł ulgę, równie niezrozumiałą, co wcześniejsza obawa.

Przecież ta kobieta była mu kompletnie obca. Mógł zrozumieć obojętną troskę o bliźniego, jednak to, czego doświadczał, dalekie było od obojętności.

Przeszła za nim przez poczekalnię do gabinetu, a potem patrzyła, jak układa kota na wyściełanym stole.

- Zanim cokolwiek zrobię, muszę posprzątać - mruknął i wybiegł szybko z pokoju.

Bess zdała sobie sprawę, że zostawił ją sam na sam z umierającym być może stworzeniem i zawołała:

- Nie, proszę poczekać! Ja... Zaraz wróci - szepnęła uspokajająco do siebie i do kota, gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Rozejrzała się niepewnie wokół. Stół stanowił chyba część aparatury rentgenowskiej znajdującej się w gabinecie. Podłoga i ściany były nieskazitelnie białe, podobnie jak szafki i szuflady po drugiej stronie

pomieszczenia. Przy ścianie stał przyrząd do sterylizacji narzędzi, a obok niego metalowa taca. Bess usiłowała nie myśleć o tym, do czego mogą służyć te narzędzia.

Nagle znowu usłyszała trzaśnięcie drzwiami, a potem odgłos odkręcanej wody z kranu. Mężczyzna wrócił do pokoju, umył ręce i osuszył je ręcznikiem. Wciąż miał na sobie to samo zachlapane farbą ubranie, lecz jego dłonie i przedramiona były już starannie wyszorowane. Gdy stanął po przeciwnej stronie stołu, Bess poczuła zapach terpentyny i mocnego mydła. Po chwili odłożył ręcznik i sięgnął po stetoskop oraz jakiś przyrząd, którym zajrzał w ucho kota. Zaraz potem założył słuchawki i rozpoczął staranne osłuchiwanie nieprzytomnego wciąż pacjenta.

Bess uważnie przyglądała się jego wyrazistym rysom, czujnym, skupionym oczom, zmarszczonemu czołu, mocnej szczęce. Twarz weterynarza miała nieco szorstki, ogorzały wygląd i nie była gładka jak skóra ludzi, którzy całe dni spędzają za biurkiem. Zauważyła też, że kiedyś miał chyba złamany nos, a jego górna warga jest jakby nieco szersza od dolnej. Zmarszczki wokół oczu wskazywały na to, że wiek mężczyzny to mniej więcej czterdzieści lat, może trochę więcej.

Zaciekawiło ją, czy złamany nos może mieć coś wspólnego z szeroką blizną na brodzie. Kiedy zaś przyjrzała się uważnie jego włosom, mimowolnie westchnęła. Były po prostu cudowne. Kiedyś musiały być ciemne, teraz jednak pojaśniały i zaczynały wpadać w piękny srebrzysty odcień. Były gęste, lekko kręcone, a przez kontrast z całą resztą jego ciała zdawały się miękkie i jedwabiste.

Bess wsunęła ręce do kieszeni. Ten człowiek kogoś jej przypominał. Było coś szczególnego w sposobie, w jaki się poruszał oraz patrzył. Z całą pewnością nie wyglądał jak typowy weterynarz.

- Być może będę potrzebował dodatkowej pary rąk - odezwał się nagle.

To zabrzmiało trochę jak pytanie, ale przecież Bess i tak nie miała wyboru. Kot powoli wracał do przytomności i rzucał się, jakby gonił za jakąś wyimaginowaną myszą. Ktoś musiał go przytrzymać, a oprócz niej nie było tu nikogo. Jak na razie świetnie poradziła sobie z widokiem krwi, więc może da sobie radę i teraz. Ostatecznie to tylko prześwietlenie.

- Jasne. Pomogę panu.

Mężczyzna podszedł do metalowego wieszaka za drzwiami i zdjął z niego dwa okrycia. Wyglądały jak pokryte ołowiem fartuchy, które musiała zakładać podczas prześwietlania zębów. Kiedy wręczał jej jeden z nich, jego dłoń zawisła nagle w powietrzu.

- Chyba nie jest pani w ciąży? - zapytał.

- Nie. - Popatrzyła na niego ze zdumieniem. Zapewne nie spodziewała się tego rodzaju pytania od zupełnie obcego faceta, pomyślał Will i uśmiechnął się w duchu. Wręczył jej fartuch, po czym sam założył drugi. Kiedy męczyła się z paskami, przyjrzał jej się uważnie. Była wysoka i szczupła, z pewnością nie zaszkodziłoby jej parę dodatkowych kilogramów. Jej delikatna twarz nie była w typie filmowej gwiazdy, miała jednak sporo wdzięku, a także znamionowała nieustępliwy charakter i pewnie dlatego przykuwała uwagę.

Mocując kliszę w aparacie, zastanawiał się, jakiej długości są jej włosy. Nie były ani krótkie, ani długie. A kolor? Nieznajoma nie była ani blondynką, ani szatynką, a jej włosy miały ten sam odcień co brązowy cukier, no, może troszkę ciemniejszy; niezbyt poetyckie, ale za to trafne porównanie. Niesforny kosmyk wymknął się właśnie z jej fryzury i opadł na policzek, więc zaczesła go za ucho.

Miała szczupłe, artystyczne dłonie, krótko obcięte paznokcie, nie nosiła obrączki - chociaż przecież to akurat nie musiało o niczym świadczyć. Obcisła bluzka ładnie uwypuklała niewielkie, lecz kształtne piersi i nagle Will zaczął się zastanawiać, czy pościel w jego sypialni jest aby na pewno czysta.

Ta myśl zdumiała go, podobnie jak impuls, który ją wywołał.

To było pożądanie, głębsze i bardziej gwałtowne niż wszystko, co czuł w obecności kobiet w ciągu ostatnich kilku lat.

Skończyła wiązać fartuch, a wtedy odwrócił się do niej.

- Ułożę go teraz - powiedział - a pani będzie pilnować, żeby nie poruszył się w niewłaściwym momencie. - Chwilę później rozciągnął kota na stole. - A tak w ogóle, to nazywam się Will Shedd - dodał, nie patrząc na nią.

- Bess Hilliard - mruknęła w odpowiedzi i od razu pomyślała, że to imię bardzo do niego pasuje. Will... Will Shedd - krótkie i mocne.

- Miło mi panią poznać, pani Hilliard. Proszę przytrzymać tylną nogę prawą ręką, a lewą położyć na grzbiecie.

Bess... Proste, rozsądne imię. Wyglądała na Bess.

- Czy tak? - spytała, starając się wykonać jego polecenie, zaś on położył dłoń na jej lewej ręce, aby zmienić nieco układ palców.

Wzdrygnęła się nieświadomie. Zerknęła na niego, aby sprawdzić, czy to zauważył. Jeśli nawet tak się stało, nie dał tego po sobie poznać.

To dobrze, że był dyskretny. Zwłaszcza że wzdrygnęła się nie dlatego, że jego dotyk sprawił jej przykrość; przeciwnie - dłonie Willa były ciepłe i delikatne, zaś palce interesująco szorstkie. Drgnęła dlatego, że ten dotyk wydał jej się znajomy.

Cofnął rękę i po chwili z aparatu dobiegł cichy trzask.

- Jak się nazywa pani kot? - zapytał, wyjmując kliszę. Minęło kilka sekund, zanim jego słowa dotarły do świadomości Bess.

- To... to nie jest mój kot - wyjąkała. - Potrącił go samochód. Jechałam z tyłu i zatrzymałam się, żeby pomóc. Jacyś chłopcy powiedzieli mi, gdzie pan mieszka.

Zerknął na nią i opuścił ramię aparatu o kilka centymetrów.

- I co? Kierowca się nie zatrzymał? - zapytał.

- Nie. - Ku swojemu zdziwieniu i przerażeniu, Bess poczuła, że w oczach zakręciły jej się łzy. Zamrugła powiekami, zła na siebie, że znów roztkliwia się nad pełnym cierpienia światem.

- Dobrze. Teraz żebra. Niech go pani trzyma.

Nic w jego głosie nie wskazywało na to, że zauważył jej reakcję. Rozległ się kolejny trzask i Will ponownie zmienił film.

- Ostatni raz - powiedział. - Proszę położyć dłoń na łopatce i delikatnie przytrzymać głowę.

Bess zastosowała się do polecenia, dziękując w duchu Bogu, że po tej akurat stronie nie było krwi. Weterynarz znowu położył dłonie na jej dłoniach, ale tym razem nie drgnęła.

- Gotowa? - zapytał. Zastanawiał się, czy ta kobieta nie lubi, kiedy się jej dotyka. Chwilę później wyjął naświetlony film i sięgnął po dwa pozostałe. - Wywołanie zajmie nam trochę czasu - powiedział i przeszedł do ciemni.

Kiedy wrócił, kobieta zdjęła już fartuch i mruzczała coś pieszczotliwie do kota, który powoli odzyskiwał przytomność. Na jego widok natychmiast zamilkła, jakby wstydziła się tego, że rozmawia ze zwierzęciem. Will wsunął wywołane zdjęcie w podświetlaną ramę i nacisnął przycisk.

- No, miał szczęście. Nie ma śladu obrażeń na miednicy ani tylnych łapach - powiedział po chwili.

Tak jak się spodziewał, natychmiast znalazła się przy nim. Jej sprawne, sprężyste ruchy wskazywały na to, że była zwinna i wysportowana.

- A co z kręgosłupem? - Jej głos był miękki, przyjemny, lecz brzmiał mocno i zdecydowanie. Zapewne przywykła do zadawania pytań.

- Wygląda na to, że też wszystko w porządku. Zesztywniał, stracił przytomność, ale to prawidłowa reakcja. - Zmienił zdjęcie. - Żebra też nie wyglądają najgorzej. Nie widzę żadnych wewnętrznych obrażeń.

Stała tak blisko, że wyczuwał zapach jej perfum. Nie był to wyrafinowany zapach, jakiego podświadomie oczekiwał, lecz lekki i świeży aromat, niemal staroświecki - za to niezwykle kobiecy.

Will wziął do ręki ostatnią kliszę.

- Szyja i staw barkowy w normie. Ma biedak lekki wstrząs, jednak czaszka nie jest uszkodzona. Tylko ta przednia łapka. Złamana, ale dzięki Bogu da się łatwo nastawić.

Kiedy pokazywał jej to na zdjęciu, przysunęła się bliżej, aby lepiej widzieć. On także się przysunął, aby móc przyjrzeć się jej oczom. Od dziesięciu minut usiłował ustalić, jaki mają kolor. Niebieski? A może zielony? Nie, raczej mieszanka obu tych barw z dodatkiem szarości.

Bess wpatrywała się pilnie w zdjęcie rentgenowskie. Owszem, widziała złamanie, ale tylko dlatego, że on jej to pokazał. Inaczej niczego by nie dostrzegła wśród czarno-szarych plam i plamek. Popatrzyła na cień jego silnej ręki. Czy to możliwe, żeby takie grube i niezręczne palce posiadały tak niezwykle wrażliwość i sprawność?

Nagle mężczyzna zgasił podświetlany ekran i powiedział:

- No dobrze, a teraz weźmy się do roboty.

Najwyraźniej nie miał na myśli tylko siebie, ale również ją. Bess spojrzała, jak zdejmuje tacę z narzędziami, i z ulgą spostrzegła, że nie ma na niej żadnych ostrych, stalowych przedmiotów. Will rozłożył czyste prześcieradło, ułożył na nim kotka, po czym przekreślił go na drugi bok, odsłaniając zakrwawione futerko.

Najpierw nastawił złamaną łapę. Zwierzak dwukrotnie drgnął, ale nie wykazywał żadnych innych objawów bólu.

- Proszę mi podać bandaż - polecił Will. - Czy pani mieszka w East Ridley?

- Nie. - Patrzyła zafascynowana, jak zręcznie opatruje złamaną łapę.

- Proszę tu przeciąć. A skąd pani jest?

- Z Bostonu - odparła i ostrożnie przecięła bandaż nożyczkami z tacy.

- Dzięki. Teraz potrzebuję dwóch zaczepów. Przyjechała pani na wakacje? - Jego głos był głęboki i nieco szorstki. Nie miał akcentu typowego dla mieszkańca tych okolic i szczerze mówiąc w ogóle nie odznaczał się żadnym charakterystycznym akcentem.

- Niezupełnie - odparła. - Przyjechałam na zjazd absolwentów.

Will spostrzegł, że dopiero teraz odpowiedziała mu pełnym zdaniem, a nie tylko pojedynczym słowem. Nie był pewien, ale miał wrażenie, że kiedy wspomniała o zjeździe, usłyszał w jej głosie niepokój.

- Barlett College? - zapytał. Była to żeńska szkoła w pobliskim miasteczku. Nie sądził, aby chodziło właśnie o nią, gdyż eleganckie ubranie kobiety, luksusowy model samochodu, a przede wszystkim jej akcent świadczyły o tym, że mogła ukończyć raczej jakiś ekskluzywny college w wielkim mieście.

- Tak - znów posłużyła się tylko jednym słowem.

- Proszę mi podać butelkę i gazę. Który to zjazd?

- Piętnasty. - Odnalazła butelkę z wodą destylowaną oraz gazę. - Ale dla mnie pierwszy. Na żadnym dotychczas nie byłam. - Nawet nie wiedziała, dlaczego uznała za stosowne poinformować go o tym.

Will zwilżył futro kota, po czym delikatnie przejechał po nim ściereczką z gazy.

Piętnasty zjazd. To znaczy, że Bess Hilliard niedługo będzie się martwić z powodu zbliżającej się czterdziestki. Nie wyglądała na swoje lata.

- I co? Zatrzymała się pani w hotelu?

- Nie - odparła i odkaszlnęła nerwowo, gdy jej spojrzenie zatrzymało się dłużej na obciśniętym bawełnianą koszulką, muskularnym torsie mężczyzny. - Jedna z moich dawnych współlokatorek zarezerwowała dla nas pokój w akademiku.

- Ach, rozumiem. Podróż sentymentalna, co? Proszę mi jeszcze podać nożyczki. Czy w ciągu tych piętnastu lat widziała się pani ze swoimi współlokatorkami?

Teraz, kiedy usunął już krew z sierści zwierzęcia, mogła przyglądać się, jak pracuje. Patrzyła, jak wycina futerko kota na odcinku między uszami a brodą.

- Kilka razy - powiedziała. - Byłam na ich ślubach, ale nie miałyśmy dla siebie zbyt wiele czasu. No i pojechałam jeszcze na pogrzeb męża jednej z nich, Keeley... - dodała z roztargnieniem.

- A one nie przyjechały na pani ślub? - ucieszył się, że ma pretekst do zadania tego pytania.

- Nigdy nie udało mi się złapać bukietu panny młodej - parsknęła cichym śmieszkiem.

Czyli nie była mężatką. Zerknął na nią, aby sprawdzić, czy temu śmiechowi towarzyszy również uśmiech. Nie towarzyszył. Will uświadomił sobie nagle, że odkąd tu przyszła, nie uśmiechnęła się ani razu. No właśnie, a jak też by wyglądała z promiennym uśmiechem na twarzy? Z pewnością złagodziłyby te ostre rysy i chłodne spojrzenie.

- A pan jest żonaty? - To było zwykłe pytanie, zaskoczyło ją jednak, że ośmieliła się je zadać. Zazwyczaj nie interesował jej stan cywilny obcych mężczyzn.

- Od sześciu lat już nie.

- A ma pan dzieci? - zapytała natychmiast, nie zastanawiając się nawet nad tym, dlaczego odpowiedź na poprzednie pytanie sprawiła jej przyjemność.

- Nie. - Wyraz jego twarzy na moment uległ zmianie, lecz nie zdążyła się domyślić, z jakiego powodu. - A pani?

Dwadzieścia lat wcześniej takie pytanie byłoby zupełnie nie na miejscu, ale teraz, przy wzrastającej liczbie matek samotnie wychowujących dzieci, wydawało się najzupełniej naturalne.

- Nie - odparła krótko.

Beznamiętny ton jej odpowiedzi nie pozwolił mu stwierdzić, czy brak dzieci cieszy ją, czy też smuci

- Może jeszcze poda mi pani waciki i to będzie wszystko.

- Znalazła paczkę wacików na tacy i podała mu ją przez stół.

- Dziękuję za pomoc. A... - zawahał się - co pani robi w Bostonie?

- Jestem wiceprezesem banku - powiedziała. Przerwał swoje czynności i zerknął na nią z zainteresowaniem.

- To niezłe osiągnięcie - zauważył. - Jak na kobietę...

W jego głosie nie słyhać było pobłażania ani męskiej złośliwości. Nie zachowywał się jak poklepujący po ramieniu tatuś i chyba naprawdę pomyślał ze szczerym uznaniem o tym, co osiągnęła.

- Długo na to pracowałam - odparła.

Oznajmiła to równie beznamiętnie, jak to, że nie ma dzieci. Cóż, skoro osiągnęła sukces w zawodzie zdominowanym przez mężczyzn, to z pewnością musiała być trzeźwa, rzeczowa i zdyscyplinowana. Nie mogła to być raczej ta sama osoba, która ma na kolanach płamy z trawy, przejmując się spotkaniem z byłymi koleżankami albo rozpacza nad przejechanym kotkiem.

Przemył ranę wacikiem. Środek antyseptyczny poplamił futro i skórę kota na żółtobrazowo.

- Chyba krew nie płynie tylko stąd? - zapytała Bess, patrząc z uwagą na jego ruchy.

- Nie. Pod wpływem uderzenia pękł mu bębenek i krew sączy się także z ucha. Ale to nie będzie go bolało i niedługo ładnie się zagoi. - Z tylnej kieszeni spodni wyjął maleńką ampulkę. Zanim zdążył się odezwać, Bess wręczyła mu strzykawkę. - To taki ogólny antybiotyk - wyjaśnił, przełamując szklaną szyjkę.

Kiedy robił zastrzyk, Bess pośpiesznie odwróciła wzrok. Strzykawki i igły budziły w niej równie głęboką odrazę, co krew. Spojrzała na niego dopiero wtedy, kiedy odłożył to narzędzie tortur na tacę.

- Cóż, kotku, chyba zużyłeś już dzisiaj swoje dziewięć żyć i jeszcze kilka innych kocich żywotów - powiedziała do zwierzątka i delikatnie poklepała je po grzbiecie. - Wiem, że te obrażenia są poważne, ale to i tak

dziwne, że jest ich tak niewiele - uśmiechnęła się w końcu do Willa i ten uśmiech odmienił całą jej twarz.

- Tak, to niesamowite - mruknął.

Kot miauknął nagle boleśnie, a uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Bess.

- Wszystko w porządku, zaczyna się budzić - uspokoił ją. Podniósł kota i ruszył w stronę wyjścia. - Będzie mu wygodniej w kojcu. Proszę poczekać, zaraz wrócę.

Nagle Bess zdała sobie sprawę, że nie ma powodów, aby tkwić dłużej w tym gabinecie. Tym bardziej że oczekiwano jej przecież zupełnie gdzie indziej. Przypomniała sobie o swetrze i rozejrzała się po pomieszczeniu. Jej spojrzenie padło na zakrwawione futerko, które Will przed chwilą wyciął kotu, a wtedy opuściła ją nagle zimna krew i opanowanie.

- Kotek od razu się uspokoił - usłyszała jeszcze słowa powracającego Willa, a potem już tylko szpetne przekleństwo, które wyrwało mu się z ust, gdy spostrzegł, że Bess osuwa się blada na podłogę.

- No i jak? Wróciła pani do świata żywych?

Jego głos rozlegał się gdzieś nad nią. Był o wiele łagodniejszy niż mogłaby przypuszczać, przez co czuła się jeszcze bardziej upokorzona.

- Tak - wyszeptała ze wstydem.

Leżała na kanapie albo na sofie. Przy swoim biodrze czuła jakieś ciepło i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Will najprawdopodobniej siedzi obok niej.

- Czy w niedalekiej przyszłości planuje pani otworzyć oczy? - zapytał uprzejmie.

Chciała powiedzieć, że nie, za nic, ale wiedziała, że jeśli tak zrobi, poczuje się jeszcze gorzej. Podniosła więc powieki i ujrzała Willa Shedda, który patrzył na nią z wyrazem łagodnego zniecierpliwienia.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani, że nie może pani znieść widoku krwi? - westchnął.

Nie była zbyt zdziwiona tym, że odkrył przyczynę jej omdlenia.

- Chciałam panu pomóc. I sądziłam, że całkiem dobrze mi idzie - wyjaśniła.

Will delikatnie odgarnął kosmyk włosów z jej policzka. Porządnie go wystraszyła i szczerze mówiąc, miał ochotę nieźle jej wygarnąć, ale teraz wydawała się taka blada i taka przerażona, że budziła w nim całkiem inne uczucia niż złość.

- I całkiem dobrze ci szło, dziewczyno - powiedział z czułością, po czym natychmiast zmienił ton. - Ma pani szczęście, panno Hilliard, że przy upadku nie nabawiła się pani wstrząsu mózgu. Nie mam dostatecznie dużego kojca.

Mimo zakłopotania Bess roześmiała się, lecz śmiech zamarł jej na ustach, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że leży na jego sofie i wcale nie chce się jej wstać.

Wbrew sobie usiadła pośpiesznie i rozejrzała się wokół.

Znajdowała się w salonie jego domu. Pomieszczenie to niewątpliwie zamieszkałe było przez mężczyznę. Znajdował się w nim ciężki dębowy stół, obite tweedem sofy oraz krzesła, które wybrano zapewne ze względu na wygodę, a nie elegancję. Bess poczuła się dosyć dziwnie na myśl, że wniósł ją tutaj i ułożył bezwładną na sofie, a ona nie była tego świadoma. Nie czuła niepokoju, już raczej... Rozczarowanie? Idiotyzm!

- Czy ma pani zawroty głowy? - Przyklęknął koło sofy i spojrzał na nią z niepokojem. - A może mdłości?

- Nie, nie... - wyjąkała. - Ja tylko...

Na szczęście Will nie czekał na odpowiedź.

- Proszę. - Podał jej talerz, który stał dotąd na stoliku do kawy. - Potrzebne będzie pani coś na uspokojenie żołądka.

Bess zerknęła z powątpiewaniem na talerz. Nie była pewna, czy kawałek pizzy to rzeczywiście doskonale lekarstwo na zbuntowany żołądek, lecz nagle stwierdziła ze zdumieniem, że rzeczywiście jest głodna. Wzięła do ręki pizzę i ugryzła spory kęs.

- To pewnie pizza z „Mario”. Oni zawsze robili najgorszą w okolicy - stwierdziła bez zastanowienia. - Ale za to sycącą - dodała szybko, żeby nie sprawić mu przykrości.

Śmiech Willa, podobnie jak jego głos, był głęboki i zachrypnięty. Bess uśmiechnęła się do niego nieśmiało, po czym ponownie ugryzła zimną pizzę.

- To resztki po wczorajszej grze w pokera. - Wręczył jej papierowy ręcznik i szklanekę wypełnioną mlekiem.

- I co, wygrał pan? - zapytała po chwili, oddając mu opróżniony do połowy talerz.

Wciąż kuczał przed nią w pozycji, którą właśnie nazwała w myślach „kowboj w krzakach”. Polegała ona na przykucu, który u niej spowodowałby nieprawdopodobny ból mięśni ud już po trzydziestu sekundach. Jemu najwyraźniej było tak wygodnie.

- Wyszedłem na zero. - Jego uśmiech i wzruszenie ramion były tak skromne, że nie mogła powstrzymać chichotu. Jej również było wygodnie, nawet bardzo wygodnie.

Nagle spojrział na coś, co znajdowało się ponad nią, po czym wstał pośpiesznie.

- Przepraszam na chwilę. Proszę to skończyć - wskazał palcem talerzyk, na którym leżał spory kawałek ciasta.

Bess wykrzywiła się do jego pleców, kiedy odchodził, ale posłusznie zjadła ciasto do ostatniego okruszka, a potem popiła je mlekiem.

Zaciekawiona, co spowodowało tak nagłe odejście jej nieoczekiwanego opiekuna, odwróciła się, aby zerknąć na ścianę. Widok zegara nie wywołał w niej żadnych skojarzeń aż do chwili, kiedy usłyszała, jak Will rozmawia z kimś przez telefon. Niestety, stał zbyt daleko, aby mogła usłyszeć, o czym.

No tak, olśniło ją nagle. Powinna była wcześniej się domyślić. Był sobotni wieczór, a on, zdaje się, żył samotnie. Z pewnością umówił się na randkę i teraz bez wątpienia wyjaśnia jakiejś biednej dziewczynie, dlaczego trochę się spóźni. Wstała i zaczęła porządkować na sobie pogniecione ubranie.

Tymczasem Will wrócił do pokoju i spostrzegł, że Bess wyraźnie szykuje się do wyjścia. Miał ochotę ją zatrzymać. W końcu jego znajomość z kobietą, do której przed chwilą dzwonił, była dość luźna. Planował nawet odwołanie randki, uznał jednak, że dziewczyna nie zasłużyła sobie niczym na taką odprawę.

- Dziękuję panu za wszystko. - Ton głosu Bess wyraźnie wskazywał na to, że nie miała zamiaru zostać dłużej. - Pójdę tylko po torebkę...

Oho, zamierzała zrzucić na niego odpowiedzialność za kota, zniknąć, a na osłodę zapewne wręczyć mu hojny czek. Nie miał najmniejszego zamiaru dać się spławić.

- O to proszę się nie martwić. Rozliczymy się później.

- Nie wiem, o której będę mogła jutro przyjechać - popatrzyła na niego z zakłopotaniem.

- Nie szkodzi, jestem cały czas na miejscu. Będę czekał.

Pewnie, że będzie. Ponieważ nie zamierzała zostać teraz, postanowił pozbyć się jej jak najszybciej, zanim przypomni sobie o swetrze. Może dzięki temu zobaczą się nawet wtedy, kiedy Bess nie będzie miała ochoty do niego wrócić.

Podszedł do frontowych drzwi.

- Jeśli pani zapuka, a nikt nie otworzy, proszę sprawdzić w stodole.

- Dobrze. Wobec tego do jutra - powiedziała nieco zirytowana. Nie musi tak gorliwie dawać do zrozumienia, że powinnam już wyjść, pomyślała. Jego przyjaciółka może jeszcze chwilę poczekać.

Odprowadził ją do samochodu.

- Ładne auto - odezwał się, kiedy stanęła przy drzwiach od strony kierowcy.

Spojrzała mu w oczy - chyba nie był z nią do końca szczery.

- Bardzo solidne, poza tym tanio je kupiłam - oznajmiła, a on pokiwał głową. - Ale prawdę mówiąc...

- Tak?

- Jest ohydne. - Wzruszyła obojętnie ramionami. Will z trudem pohamował śmiech.

- A jaki wóz naprawdę chciałaby pani mieć? - zapytał.

- Och... - Zerknęła na niego zawstydzona. - Chciałabym mieć samochód z napędem na cztery koła, wie pan, taki jakie widzi się w reklamach, kiedy odjeżdżają w blasku słońca w stronę prairii. Mniej więcej taki jak pana, tyle że mniejszy, ale... - ponownie wzruszyła ramionami - taki samochód nie byłby praktyczny.

Will ponownie musiał powstrzymać się od śmiechu.

- Nie - przyznał z powagą. - W okolicach Bostonu nie ma prerii, prawda?

- Ano nie ma. - Zauważył w jej oczach dziwny błysk, jakby tęsknotę za czymś nieznanym i szalonym. Zaraz jednak Bess zamrugała powiekami i ten tęskny wyraz zniknął - Wobec te go do zobaczenia jutro, doktorze Shedd.

Podawała mu rękę, a on ją uściskał, przytrzymując nieco dłużej, niż było to przyjęte. Gdy zaś trzymał jej dłoń, przez chwilę znów widział ten sam błysk w jej niebieskozielonych oczach.

- Do jutra - powiedział.

Bess zerknęła w tylne lusterko, by raz jeszcze popatrzeć na oddalający się biały dom. Wiedziała, że jeszcze tu wróci. Nie tylko dlatego, że musiała wypisać czek dla Willa Shedda, ani też nie dlatego, że gdy ścisnął jej dłoń, poczuła dreszcz, który starała się zignorować i który zignorować się nie dał. Poza tym wszystkim naprawdę interesowało ją, co się stanie z poturbowanym kotem. Roześmiała się bezradnie i nacisnęła pedał gazu. Rzeczywiście upadła na głowę.

Po przejechaniu kolejnych dwóch kilometrów ujrzała w oddali czworokątną wieżę biblioteki w miasteczku uniwersyteckim Barlett. Zerknęła na zegarek Abby i Keeley bez wątplenia spisały już ją na straty.

Kilka minut później zamknęła opróżniony bagażnik swojego samochodu, po czym wyprostowała się i rozejrzała dookoła. Stare budynki pięknie wtapiały się w miękkie światło wczesnego wieczoru, przywołując dawne wspomnienia. Bluszcz był teraz nieco bardziej obfity, drzewa nieco

wyższe niż kiedyś, ale oprócz tego wszystko wyglądało tak, jak gdyby oglądała to oczami dwudziestolatki.

Bess podeszła do głównego holu, otworzyła drzwi i cofnęła się w czasie o piętnaście lat. Lśniaca dębowa podłoga, okna z parapetami, na których siadało się z książką, palma w doniczce pod ścianą, telefon w recepcji, przez który prowadziło się rozmowy międzymiastowe i na który „dzwonili panowie”. Do niej akurat nie dzwonili, ale już do Keeley - jeszcze jak. Najwięcej niejaki Dominik Vitalli.

Przy recepcji nie było nikogo, chociaż niewielka karteczka informowała absolwentki, żeby zgłaszały się tutaj po klucze do pokojów. Bess uznała, że lada chwila ktoś zapewne nadejdzie, i zostawiła bagaże pod ścianą, aby sprawdzić, co jeszcze wygląda zupełnie tak, jak dawniej.

Na pewno nie zmieniła się jadalnia. Przy jednym ze stolików cztery nieznane Bess kobiety rozkoszowały się właśnie tradycyjną studencką przekąską, czyli mlekiem z krakersami. Każdego wieczoru o dziewiątej wszelkie pozostałości z obiadu oraz krakersy, masło orzechowe, no i mleko ustawiano na stolach dla tych dziewcząt, które miały ochotę coś przekąsić. Bess pomyślała z uśmiechem, że wraz z Abby i Keeley nieraz solidnie się tu najadły.

Pokoje do „cichej pracy” wciąż były umeblowane antykami i wyściełane eleganckimi dywanami. Bess przypomniała sobie, że kiedy tu przybyła, to właśnie z uwagi na te dywany i antyki miejsce to wydało jej się wytwornym pałacem. Tak naprawdę poczuła się w nim zupełnie swobodnie dopiero na ostatnim roku.

Kiedy wróciła do recepcji, czekała już na nią młoda kobieta, będąca mniej więcej w wieku, w którym była Bess, gdy opuszczała przed laty to miejsce. Bess podpisała się na liście gości i wzięła swój klucz.

Natychmiast rozpoznała numer Keeley naprawdę zarezerwowała ich dawny pokój.

Z rozbawieniem podziękowała dziewczynie, która koniecznie chciała zanieść jej bagaże na górę, i pomyślała, że ona również uważała kiedyś, że każdy, kto przekroczy trzydziesty piąty rok życia, nadaje się już prawie na wózek inwalidzki.

Jeśli parter wyglądał niczym pałac, to piętra z sypialniami przypominały raczej koszary. Tutaj nie zmieniło się nic, nawet farba na ścianach była ta sama, tyle że miała jeszcze bardziej pożółkły odcień. W małej łazience, która musiała wystarczyć na całe piętro, wciąż były te same obrzydliwe zielonkawe kafelki i niezbyt gustownie pomalowane rury od kaloryfera.

W połowie korytarza Bess zatrzymała się przed odrapanymi drzwiami. Sięgnęła po klucz, po czym nagle znieruchomiała. Od tygodni cieszyła się na spotkanie z Abby i Keeley, ale teraz, tuż przed drzwiami dawnego pokoju, poczuła niewytłumaczalną niechęć, niemal strach przed naciśnięciem klamki. Odetchnęła głęboko i włożyła kluczyk w drzwi, a wówczas okazało się, że zamek jest otwarty.

- Bess! - Drobna blondynka uniosła głowę znad walizek i odwróciła się z przyjaznym uśmiechem.

- O rany, Abby, twój bagaż jest chyba większy od ciebie!

- Witaj, Bess! Tak się cieszę, że cię widzę. Bałam się, czy nie zrezygnujesz w ostatniej chwili. - Abby ruszyła ku niej z powitaniem, jak zawsze żywiołowym, ale czy teraz trochę nie sztucznym?

- Ja też się tego bałam. Przyjechałam jednak - i jestem. Nie wiesz, czy Keeley już dotarła?

- Widziałam ją w audytorium. Wyszła, zanim zdążyłam ją złapać.

Bess rzuciła swoje bagaże i torebkę na łóżko, które zajmowała, kiedy mieszkały tu razem, zaś Abby dokończyła rozpakowywać swoje rzeczy. Wymieniły kilka zdawkowych uwag na temat podróży i Bess szybko zmieniła temat, by nie musieć mówić przyjaciółce o przyczynach swojego spóźnienia. Powiedziała tylko o kocie, ale już o weterynarzu nie chciała opowiadać zbyt wiele.

Podobnie zachowywała się bardzo dawno temu, jako mała dziewczynka, kiedy udało jej się odkryć coś pięknego - bajecznie kolorowego motyla czy też gniazdo ptaka pełne jajeczek

Nigdy nie biegła do innych, aby opowiedzieć im o swoim znalezisku, lecz trzymała swój sekret dla siebie, aby móc się nim nacieszyć w samotności. Już wtedy wiedziała, że to głupie, a teraz wydawało jej się jeszcze głupsze. Mimo to i tak nie chciała opowiadać o Willu.

- Mam nadzieję, że Keeley dobrze wypadła - powiedziała, zerkając na walizkę firmy Gucci, stojącą w nogach jednego z łóżek. W czasach studenckich Abby i Keeley zajmowały dwa łóżka pod oknami, podczas gdy Bess to najbliżej drzwi, tak żeby nie musiała budzić koleżanek, kiedy późno wracała z pracy. - Strasznie mi przykro, że tego nie widziałam.

Okazało się, że Abby też przegapiła znaczną część przemówienia. Zdarzyło się to, co zwykle. Ktoś w ostatniej chwili potrzebował jej pomocy i „kochana Abby” - tak ją nazywano z uwagi na jej dobre serce - jak zawsze zgodziła się z uśmiechem, nie bacząc na samolot i rezerwację.

- Wiesz, gdzie ona jest? - zapytała przyjaciółkę.

- Nie. - Tym razem w głosie Abby dało się wyczuć niemal matczyną troskę. A więc i to się nie zmieniło.

Kiedy właśnie kończyły układać swoje ubrania na półkach, drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju weszła rozpromieniona Keeley.

- Kiedy przyjechałyście? - zawołała i wyściskała się z przyjaciółkami, gdy zaś minęła pierwsza euforia z powodu tego, że oto wszystkie trzy znów znalazły się razem na starych śmieciach, zaczęły gadać - jak kiedyś.

Opowiadały o różnych sprawach, jednak Keeley nie mogła znaleźć sobie miejsca. Kręciła się po pokoju, skakała z tematu na temat i nie dopuszczała koleżanek do głosu. Mówiła szybko, nerwowo, lecz to, co mówiła, było błahe i nie miało większego znaczenia. W odpowiedzi na pytanie Abby, jak spędziła czas po wręczeniu nagrody, odparła, że spacerowała sobie po mieście i wstąpiła na chwilę do „Truskawkowej Chaty”, popularnej knajpy, gdzie w sezonie serwowano pyszne koktajle - oczywiście z truskawek. Zanim Bess zdążyła zapytać, czy spotkała kogoś znajomego, Keeley znalazła sobie nowy temat.

- Widzę, że nadal nie ma tu windy - paplała. - Zapomniałam też, jak strome są te schody, zwłaszcza kiedy trzyma się w obu rękach bagaże.

- Ale czy to nie pocieszające, że pewne rzeczy się nie zmieniają? - zauważyła Abby.

Roześmiały się, a kiedy śmiech ustał, Keeley popatrzyła na Bess.

- Gratuluję ci awansu, moja droga, chociaż martwi mnie to, że dowiadujemy się o twoich sukcesach z wizytówek.

- Właśnie, Bess, dlaczego nam nigdy nie mówisz? - Abby przyłączyła się do Keeley. - Osiągnęłaś to, co zawsze chciałaś osiągnąć, i powinnaś być z tego dumna. Gdybym była tobą, zamieszczałabym ogłoszenia w gazecie!

- Dziękuję wam, że się z tego cieszyacie - mruknęła Bess z zakłopotaniem.

Czuła się niezręcznie, ale wcale nie z powodu komplementów koleżanek, lecz dlatego że tknęło ją nagłe podejrzenie, iż nie mówi im o swoich sukcesach z powodu jakiejś perwersyjnej próżności. Informowanie ludzi o własnych osiągnięciach wydawało jej się zawsze obrzydliwym chwalipięctwem, ale może było to przynajmniej uczciwe.

Ona nie chciała być chwalipiętą, więc o jej awansach przyjaciółki dowiadywały się, czytając jej nazwisko - z tytułami - wydrukowane na firmowej wizytówce, kopercie czy papeterii. Dlaczego nie mówiła im o nich wprost?

- Jak tam twoja siostra, Abby? - spytała przyjaciółkę, żeby sprowadzić rozmowę na inne tory. - Urodziła szczęśliwie?

- Doskonale. Byłam u niej trzy dni. Mały jest świetny, a ona już pod koniec tygodnia ganiała dwójkę starszych dzieciaków. Oczywiście nie przegapiła żadnej okazji, żeby powiedzieć mi, że robiłabym to samo, gdybym nie poślubiła niewłaściwego mężczyzny - Abby zaśmiała się nerwowo.

I oto przyszedł czas na pierwsze szczere wyznania. Kto miał je zacząć, jeśli nie kochana Abby? Opowiedziała o swoim rozwodzie, a one mogły tylko powtórzyć to, co o byłym mężu przyjaciółki mówiły zawsze Darryl Granger to gbur i palant, zupełnie nie wart tak wspaniałej dziewczyny, jak Abby. Dzięki niej skończył prawo, zrobił dyplom, nie dał jej nic w zamian, a ona jeszcze długo go usprawiedliwiała i nie pozwalała na żadne krytyczne uwagi na jego temat. Och, Abby.

- Może z początku wydawał się dobrą partią - powiedziała ostrożnie Bess. - Ale później.

- Nie wysilaj się, Bess. Nie był żadną dobrą partią tylko zwykłym dupkiem! - mruknęła Abby z goryczą.

Keeley i Bess wymieniły zdumione spojrzenia. Po raz pierwszy Abby powiedziała tak dosadnie - ale prawdziwie - o swoim byłym małżonku. Obie wlepiły w nią wzrok, zaś sprawczyni tego zamieszania wyglądała tak, jak gdyby sama nie mogła uwierzyć w swoje słowa. Chwilę później wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem.

Godzinę po tym wydarzeniu Bess leżała już w łóżku. Śmiech, a potem ciemność, która zapadła w pokoju, kiedy zgasiły światło, pozwoliły im nieco przełamać rezerwę, z jaką początkowo się traktowały.

Natomiast zetknięcie się ze starymi, niewygodnymi materacami sprawiło, że poczuły się jak przed piętnastu laty. Zgodnie ze starym zwyczajem plotkowały teraz w ciemnościach, chichotały i opowiadały o tym, o czym najłatwiej opowiada się po zgaszeniu światła - o marzeniach, nadziejach, planach.

Za oknem rozległ się nagle warkot silnika.

- To zabrzmiało jak twój Singer, Abby - parsknęła śmiechem Bess. Nazywała tak samochód Abby, gdyż wydawał z siebie odgłosy identyczne z tymi, które wydaje maszyna do szycia. Psuł się zresztą co miesiąc, mniej więcej o tej samej porze, co wywoływało dosyć jednoznaczne skojarzenia wśród pań.

- Tak, jedyny w świecie samochód z miesięczną niedyspozycją. Rozumiałyśmy się jak kobieta z kobietą - zachichotała Abby.

Wkrótce chichoty ucichły, a Bess poczuła, że zwolna ogarnia ją senność. Cieszyła się, że tu przyjechała, ale czuła się też smutna i przybita. Przyjemnie było powspominać zabawne wydarzenia, lecz to właśnie za sprawą tych wspomnień uświadomiła sobie nagle, że przez cały okres studiów oczekiwała od życia czegoś innego.

Zawsze chciała być bliżej swoich przyjaciółek, być bardziej otwarta, bezpośrednia i spontaniczna; taka jak Keeley i Abby, kiedy ściszały się na powitanie albo obrzucały poduszkami.

Cóż z tego, skoro czuła się inna, niedopasowana. Była od nich prawie dwa lata starsza, co oczywiście teraz nie miało żadnego znaczenia, ale wtedy owszem. Nawet ze stypendium nie mogłaby sobie pozwolić na studia, więc przez dwa lata pracowała na pełny etat, oszczędzając każdego centa, aby kiedyś móc pozwolić sobie na coś więcej niż własnoręcznie uszyte ciuchy, jedzenie z puszek i zabiedzony wygląd.

A przecież kiedy już zaczęła studiować, wcale nie było jej łatwiej. Keeley i Abby przebierały się na randki, zaś ona zakładała fartuszek kelnerki i maszerowała do pracy. Nawet po tylu latach te wspomnienia sprawiały jej przykrość.

I skąd się miał brać ten luz, ta spontaniczność?

Poczuła, że po policzku spływa jej łza. Może nie potrafiła zbliżyć się do Keeley i Abby, ponieważ zbyt często zazdrościła im tego, że one mają pieniądze, a ona nie?

I może one potrafiły to wyczuć?

Teraz nie była już o nic zazdrosna. Kupowała ubrania w ekskluzywnych butikach, jedzenie w dobrych sklepach i nie wyglądała już na zabiedzoną. Żyła tak, jak zawsze żyć pragnęła - ale wciąż potrzebowała czyjejs bliskości, może nawet teraz bardziej niż kiedyś.

Przymknęła powieki.

Ciekawe, jak się miewa mój kot, pomyślała.

NIEDZIELA

- Jesteś pewien, że nie chcesz kota syjamskiego, Will? Ma rodowód.

- Nie, Jack. Chcę tego. - Will otworzył drzwi drucianej klatki.

- Ale to nie kot, tylko kotka.

- To żaden problem. - Przynajmniej miał taką nadzieję.

Kilka minut później, kiedy już wyszli na zewnątrz, Will uściskał rękę starszka.

- Dziękuję, Jack. Jestem ci zobowiązany.

Starszy mężczyzna zasłonił dłonią usta, bezskutecznie usiłując ukryć ziewnięcie.

- Za to, co robisz dla naszych zwierząt, to my jesteśmy ci zobowiązani - odparł.

Will postawił koszyk z kotem na siedzeniu pasażera, po czym wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

- Jeszcze raz dziękuję, Jack! - krzyknął przez okno.

- Zawsze do usług, Will. - Starszy pan ziewnął ponownie. - Chociaż może następnym razem przyjechałbyś trochę później, co? Rany boskie, szósta rano!

W odpowiedzi Will uśmiechnął się tylko i zaczął wycofywać samochód.

- Hej, Will! - wrzasnął starszy pan. - Zapomniałeś mi powiedzieć, po co ci ten kot?

- Zajęcia na ósmą? To okropne! Myślałam, że mam to już za sobą...

- Nie przesadzaj. Nigdy nie miałaś żadnych zajęć o ósmej - przypomniała jej ze śmiechem Abby. - Nie chodziłaś na nic, co zaczynało się przed dziesiątą.

- I tak nie mogłam długo spać przez Bess, to żywy budzik - narzekała Keeley. - I proszę, to też się nie zmieniło. Nadal wstaje z kurami.

Ten poranek wyglądał tak, jak wiele poranków sprzed lat. Keeley narzekała na konieczność wczesnego wstawania, Abby popijała wykradzioną ze stołówki kawę, a wszystkie trzy robiły nieprawdopodobne zamieszanie, usiłując ubrać się w tym samym czasie. Keeley jak zwykle nie miała własnych rajstop, a Abby jak zwykle była przygotowana na tę okoliczność i bez protestów zaoferowała jej kilka par do wyboru. Zawsze się z tego śmiały, teraz też.

Bo Keeley była nieprzyzwoicie wręcz roztargniona. Zdarzało jej się zresztą pożyczać rajstopy także od Bess; mówiła nawet, że jej numer bardziej pasuje.

Oczywiście, zawsze się później rewanżowała, ale bynajmniej nie nową parą rajstop. Zazwyczaj zostawiała małą paczuszkę na łóżku lub na toalecie, wewnątrz której znaleźć można było coś oryginalnego, drogiego i zupełnie nieprzydatnego. W tamtych czasach Bess wołała, żeby to były rajstopy. Mimo to uwielbiała te niepraktyczne prezenty. Przez dłuższy czas były one jedynymi ładnymi przedmiotami, jakie posiadała.

- A skoro jesteśmy przy kurach, to czy odnalazłaś tego swojego ptaka, Keeley? - zapytała Abby.

Keeley wbiła w nią bezmyślne spojrzenie, po czym zamrugowała powiekami.

- Ach, znowu mówiłam przez sen? - domyśliła się wreszcie. - A co mówiłam?

- Gdzie jest kura? Gdzie jest kura? - zawołała Abby, naśladowując jej głos. - Już miałam cię budzić i powiedzieć, że ją właśnie zjadłyśmy na kolację, ale w końcu się zamknęłaś.

Keeley parsknęła z rozbawieniem. Jej nocne monologi zabawiały Abby i Bess przez całe studia. Na szczęście nie miała zwyczaju krzyczeć po nocach, zadawała tylko absurdalne pytania, takie jak to o kurze, co oczywiście bardzo śmieszyło jej współlokatorki. Abby, z wykształcenia psycholog, uważała że wyrażają one tłumione niepokoje koleżanki, ale Bess trudno było w to uwierzyć. Przecież Keeley urodziła się w czepku, i to w czepku wyszywanym złotą nicią. Jak dziewczyna, która nigdy nie czuła potrzeby sprawdzania stanu swojego konta, mogłaby mieć jakiegokolwiek lęki?

- Bess, masz żelazko? - zapytała Abby.

- Jest w zewnętrznej kieszeni torby - odpowiedziała nieuważnie, usiłując ułożyć włosy przed lustrem..

- Keeley, patrz! Bess ciągle ma Radara!

Bess przymknęła oczy z zażenowaniem. Zupełnie zapomniała, że włożyła Radara, bo tak się nazywał jej stary pluszowy miś, do tej samej kieszeni, co żelazko. Miała go nie brać, ale towarzyszył jej już w tak wielu podróżach, że zapakowała go z przyzwyczajenia. Radar to był prezent od obu przyjaciółek, a nazwany został na cześć sympatycznego niedźwiadka występującego w telewizyjnym serialu dla dzieci. Siedział na jej łóżku przez dwa lata, po czym wyjechał z nią do Bostonu.

Pierwszej nocy w mieście, kiedy Bess znalazła się w maleńkim mieszkanku, które miało stać się jej nowym domem, rozejrzała się dookoła i nic nie wydało się jej znajome. Ani meble, ani pościel, ani obraz na

ścianie. Ogarnęło ją przygnębienie, lecz właśnie wtedy dostrzegła Radara i on dodał jej otuchy.

Oczywiście, nie zamierzała opowiadać o tym koleżankom, gdyż obawiała się, że zabrzmiałoby to zbyt głupio i sentymentalnie.

- To jedyny znany mi osobnik płci męskiej, który nie rozpycha się w łóżku - oświadczyła tylko.

Było to dosyć kiepskie wytłumaczenie i w dodatku nie do końca prawdziwe - nie wiedziała przecież, czy znani jej mężczyźni rozpychają się w łóżku, czy nie. W każdym razie słowa te bardzo rozbawiły i Keeley, i Abby.

Cóż, tego ranka wszystkie trzy zachowywały się nieco głupawo. Kilka razy przerywały wykonywane czynności tylko po to, żeby uśmiechnąć się do siebie. Bess przypuszczała, że po prostu cieszą się nawzajem swoją obecnością. Czy wrócą znowu to ciepło i bliskość, za którymi tęskniła przez tyle lat?

Bess odetchnęła głęboko powietrzem wpadającym przez okna samochodu. Spotkanie inauguracyjne zakończyło się przed południem, kiedy zaś Keeley i Abby zajęły się swoimi sprawami, Bess postanowiła zrezygnować z lunchu i pojechać do Willa. Nie dlatego, oczywiście, że tak bardzo śpieszyła się do niego. Po prostu uznała, że to najlepsza pora na wizytę. Nie była zbyt głodna, a poza tym zapowiedziała wczoraj, że wpadnie. Musiała sprawdzić, co z kotem, a przede wszystkim uregulować rachunek. Aha, no i zostawiła tam sweter...

Wytłumaczywszy sobie to wszystko, skoncentrowała się na prowadzeniu samochodu. Powietrze pachniało sianem, wczorajszym deszczem i czymś słodkim. Aromat ten najprawdopodobniej wydzielały

rosnące przy drodze polne kwiaty. Bess wciągnęła powietrze nosem i pomyślała, że to niezwykle przyjemna odmiana po zapachach, z jakimi kojarzył jej się Boston.

Minęła niewielkie skrzyżowanie i ujrzała przed sobą znajomy biały dom. Nad ziemią unosiła się delikatna, poranna mgiełka, dzięki której słońce tworzyło nad pobliskim strumykiem idealną tęczę. Kiedy jednak wjechała na mostek, kolorowe wstążki zniknęły sprzed jej oczu.

Przeczytała na tabliczce nazwę rzeczki - Tęczowy Strumień - i pomyślała, że to pewnie zwyczajne dla tego miejsca zjawisko.

Wkrótce ujrzała znak wskazujący drogę do kliniki Willa Shedda. Dopiero teraz zauważyła, że ma on kształt pieska z krótkim ogonem i sterczącymi uszkami. Kiedy zdała sobie sprawę, z czym kojarzy się jej ten piesek, roześmiała się serdecznie. Oto właśnie przekroczyła Tęczę, znalazła się na drugim jej brzegu, a tym samym w Krainie Oz, gdzie czeka już na nią piesek Toto. Ciekawe, czy nie ujrzy czasem dziewczynki w sukience w kratkę i towarzyszącego jej stracha na wróble.

Zamiast drobnej dziewczynki zobaczyła potężnego mężczyznę. Will Shedd wychodził właśnie ze stodoły. Miał na sobie, jak wczoraj, dżinsy i podkoszulek - tym razem z rękawami i bez dziur - jednak dzisiaj był gładko ogolony, przez co wyglądał łagodniej i mniej szorstko... ale tylko trochę mniej.

Zatrzymała się, on zaś podszedł do niej i otworzył drzwi samochodu. Bess poczuła ucisk w żołądku - oczywiście z głodu, wytłumaczyła sobie natychmiast. Powinna była kupić sobie jednak hamburgera.

Na widok trocin na jego dżinsach i zakurzonych butów zrozumiała, że zamienił dzisiaj pędzel na piłę. Przez cały ranek powtarzała sobie, że

Will nie jest tak przystojny, jak zapamiętała - i rzeczywiście okazało się to prawdą.

Był przystojniejszy.

Will Shedd dostrzegł wahanie, z jakim wysiadała z samochodu. Jej oczy zdradzały, że zastanawia się, czy odwiedziny u niego to dobry pomysł. Miała dzisiaj na sobie „bankową” sukienkę, granatową i tradycyjnie skrojoną.

- Cześć - powiedział.

- Dzień dobry, doktorze Shedd. - Pomyślała, że przez kontrast do jego słów jej powitanie wypadło niezwykle sztywno. - Jak tam kot?

- Ma się całkiem dobrze. - Zamknął za nią drzwi samochodu. - Proszę wejść i zobaczyć.

Kiedy wchodzili na schodki, otrzepał spodnie z kurzu, po czym otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do środka. To jej nie zdumiało, zdziwił ją raczej fakt, że posłusznie weszła. A przecież przez piętnaście lat sama otwierała sobie drzwi i w ogóle robiła wszystko, aby ludzie zapomnieli, że jest kobietą. Tak dobrze jej to szło, że sama czasem o tym zapominała.

A jednak teraz nie sięgnęła za klamkę. Czekala, aż on to zrobi, nawet odsunęła się nieco, żeby go przepuścić. Robiła to wszystko automatycznie, nie zastanawiając się nad tym, co też sprawia, że czuje się przy nim najprawdziwszą kobietą.

- Masz gościa, kocie! Przyszła Bess! - zawołał Will, gdy znaleźli się wewnątrz. Celowo użył jej imienia. Nie chciał, aby mówili do siebie „doktorze Shedd” i „panno Hilliard”. Nie miałyby to sensu, przecież wczoraj trzymał ją w ramionach.

No właśnie, od tego tak naprawdę się zaczęło to jego zainteresowanie Bess Hilliard. Odnalazł w tej kobiecie jakąś miękkość i oddanie, których zupełnie się po niej nie spodziewał.

Oczywiście, była wówczas nieprzytomna, domyślał się jednak, dlaczego normalnie nie pozwala sobie na większą swobodę. Gdzieś na początku swojej kariery szybko widocznie zrozumiała, że nie może sobie pozwolić na żadną poufałość, ani nawet na przyjazne gesty, bo dla niektórych mężczyzn natychmiast stanie się „złotkiem”, „rybką” albo jakąś inną „dzieciną”.

Kot w kocy natychmiast zerwał się z posłania i ze zdumieniem spojrzął na bandaż na swojej prawej nodze. Miauknął z dezaprobatą, która, jak przypuszczała Bess, odnosiła się do życia w ogóle.

- Biedny kotek. Wyglądasz tu, jakbyś był w więzieniu. Nie bawisz się chyba najlepiej, co?

Kot wyczuł przyjazną duszę, więc miauknął rozdzierająco i wysunął łapę przez kraty. Bess roześmiała się i popatrzyła na stojącego za nią mężczyznę.

- Chyba chce mnie wzruszyć i przekonać, że bym go wypuściła. - Podrapała kotka za uchem. - O co chodzi, kolego? Chcesz mi powiedzieć, że to wszystko nieporozumienie? Że jesteś niewinny?

W odpowiedzi kot znowu zamiauczał, a Bess znów popatrzyła z uśmiechem na Willa.

- Świetnie sobie radzi, Will. To dzięki tobie. - Dziwne. Jakoś nie miała problemów z przejściem na ty. - Trudno mi uwierzyć, że to to samo żałosne stworzenie, które ci wczoraj przywiozłam. Wydaje się większy, jaśniejszy. Pewnie dlatego, że wczoraj miał mokre futerko.

- Pewnie tak. Podoba ci się teraz? - W duszy Willa odezwały się wyrzuty sumienia. Nie powinien w żaden sposób namawiać Bess, by zaopiekowała się zwierzakiem. Już od lat nie robił takich numerów. Poczł do siebie niesmak, ale zaraz pomyślał, że za cenę drobnych niedogodności kotek zyska dom na całe życie, i uspokoił się nieco.

Tymczasem Bess już drapała kota pod szyją.

- Nie byłam wczoraj pewna, czy cię zastanę.

- Teoretycznie mnie tu nie ma. Mam dwa tygodnie urlopu. Ale jestem, kiedy chodzi o nagłe wypadki - dodał szybko na widok jej przepaszającego spojrzenia.

- Może jednak chciałeś gdzieś wyjechać? - Człła się jeszcze bardziej winna, gdyż miała nadzieję, że nie chciał.

Will otworzył drzwi kojca i postawił w nim miseczkę z jedzeniem.

- Jedyne miejsce, do którego teraz jeżdżę, to skład materiałów drzewnych w mieście. Spędzam urlop, odnawiając ten dom i stodołę.

Pomyślał, że to był jego najlepszy pomysł od wielu lat.

- Zdaje się, że złamana noga nie wpłynęła na jego apetyt - powiedziała Bess z łagodnym uśmiechem, gdy miseczka z kocim jedzeniem zaczęła błyskawicznie się opróżniać.

- Mhm - zgodził się, obserwując ją uważnie. - Pochłania jedzenie jak odkurzacz. - Obserwował ją, bo wciąż nie mógł uwierzyć, że zwykły uśmiech może tak odmienić oblicze człowieka.

- Ciekawe, jak ma na imię.

- Na razie nijak. Będiesz musiała mu jakieś nadać. - Jej zapach drażnił jego nozdrza, podobnie jak ubiegłej nocy, kiedy Will leżał na kanapie, wdychał lekki aromat, który po sobie pozostawiła, i czekał na sen, który w ogóle nie chciał nadejść.

Bess zmarszczyła na chwilę czoło, po czym uśmiechnęła się szeroko.

- Już wiem. Niech będzie Elektroluks! - oznajmiła radośnie. -

Eleganckie, prawda?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem, po czym przypomniał sobie swoją wcześniejszą uwagę na temat tempa, w jakim kot zjadał swój posiłek.

- Elektroluks? - spytał. Kotu niezbyt spodobało się chyba to słowo, gdyż podniósł oczy znad miski i popatrzył na nich z irytacją.

- Tak, Elektroluks - zachichotała Bess. - Może mieć różne wersje: Elek albo Luks. Okay, Elektroluks, zostawimy cię teraz, żebyś mógł sobie jeść w spokoju.

Kiedy się odwracała, od strony klatek dla psów usłyszała szczekanie. Wcześniej myślała, że nie ma tam żadnych zwierząt, więc kiedy Will ruszył w tamtym kierunku, podążyła zaintrygowana za nim.

Piesek, którego ujrzała, wyglądał na radosnego fajtlapę, ale obecnie nie było mu chyba zbyt wesoło. Jego tylna noga tkwiła w gipsie, zaś wzdłuż grzbietu można było dostrzec ślady szwów. Wyglądał jak stara, nadjedzona przez mole maskotka, którą ktoś usiłował nieporadnie naprawić.

Will otworzył drzwiczki klatki i przyklęknął. Niewiele myśląc, przykucnęła obok niego.

- Co mu się stało? - zapytała.

- Jego spotkanie z samochodem miało nieco bardziej dramatyczny przebieg niż w przypadku Elektroluksa - usłyszała.

Mimo obrażeń pies pokuśtykał w ich stronę.

- Cześć, Kudłacz. Jak się masz, mały? - Will delikatnie potargał uszy psa, a ten bez wahania wspiał się na jego ręce i usadowił się tam z wyraźną przyjemnością. Bess mogła to zrozumieć.

Przeszył ją dreszcz, jakby wyczuła nagle jakieś niebezpieczeństwo. Tak, spotkania takie jak to były niebezpieczne. Bess czuła niezwykle, trudny do wytłumaczenia pociąg do człowieka, którego praktycznie nie знаła - i to właśnie było prawdziwe zagrożenie.

Z trudem opanowała przemożne pragnienie, aby przysunąć się do Willa. Pogłaskała psa po łopatce, pilnie uważając, aby nie dotknąć dłoni mężczyzny.

- Czy wyzdrowieje? - zapytała.

- Cóż, nie będzie już biegał tak szybko, jak kiedyś, ale wyzdrowieje - odrzekł.

Pies wysunął długi, różowy język i ułożył głowę na ramieniu weterynarza. Pomyślała, że mości się na nim jak małe dziecko. Wiedziała już, jak Will wyglądałby z własnym dzieckiem na ręku, jak czule i delikatnie by je trzymał.

Kiedy kilka minut później Will zamykał klatkę, na podłogę wypadł ze środka kawałek papieru. Bess schyliła się, aby go podnieść. Była to kartka z zeszytu, na której znajdował się rysunek przedstawiający biało-brązowego pieska, oraz wypisana niezdarnymi kulfonami wiadomość: „Tęsknię za tobą Kudłacz. Wyzdrowiej proszę! Kocham cię. Melissa”.

- To kartka z życzeniami dla Kudłacza - uśmiechnął się Will, biorąc od niej papier. - Jego mała właścicielka przyniosła ją, kiedy przyszła w odwiedziny.

Sięgnął po taśmę klejącą i za jej pomocą przymocował kartkę do drzwiczek. Bess wzruszył ten drobny gest. Dorosły mężczyzna mógł być mniej sentymentalny, mógł wyrzucić ten kawałek papieru, a mała i tak nigdy by się o tym nie dowiedziała.

Mimo to nie zrobił tego. Rozumiał, jak ważne musi być dla dziewczynki utrzymywanie kontaktu ze swoim ulubieńcem, chociażby w takiej tylko formie. Wielu mężczyzn zapewne wpadłoby w zakłopotanie, gdyby ktoś odkrył, że posiadają jakąś czułość i wrażliwość. Will Shedd, jak widać, był inny. Nie bał się, że narazi na szwank swój wizerunek twardego mężczyzny, a jednocześnie był jednym z najbardziej męskich mężczyzn, jakich w życiu spotkała.

Kiedy opuszczali pomieszczenie przeznaczone dla zwierząt, Bess poczuła się nagle smutna i pozbawiona energii. Ta wizyta była taka... krótka.

- Kiedy przyjechałaś, miałem właśnie zrobić sobie przerwę na lunch - powiedział. - Ty pewnie też nic nie jadłaś, a ja mam tyle zarcia, że wystarczy dla nas dwojga.

Położył dłoń na klamce drzwi, które prowadziły do części mieszkalnej domu, i czekał na jej odpowiedź.

- Och, nie - powiedziała szybko. - Nie mogę zostać. - Wyczuła smakowity zapach dobiegający z za drzwi i zawahała się. - Chyba powinnam wracać.

Will dostrzegł, że dyskretnie wciągnęła powietrze, i szerzej otworzył drzwi, aby lepiej poczuła dochodzące z kuchni aromaty.

- Zaplanowałaś coś na popołudnie? - zapytał.

- Nie. Ale...

- To dobrze. Nie ma więc powodu, dla którego miałabyś wracać do miasta, chyba że... - Popatrzył na nią pytająco. - Chyba że nie lubisz chilli.

Bess ponownie rozważyła jego propozycję. Ostatecznie to nic zobowiązującego, pomyślała. Zwykle zaproszenie. Poza tym faktycznie była głodna...

- Uwielbiam chili - odparła z uśmiechem.

Kiedy weszli do kuchni, z podłogi podniosło się stworzenie, które wyglądało na krzyżówkę starej ścierki do mycia naczyń i niemieckiego doga. Bess zamarła, kiedy pies zaszczekał na powitanie, ukazując dwa rzędy wielkich, lśniących zębów.

- Usiądź, Kłębek!

Pies natychmiast posłuchał Willa, ale jego zęby zrobiły na Bess zbyt duże wrażenie, aby mogła się teraz spokojnie ruszyć.

- Nie bój się, jest całkowicie nieszkodliwy - zapewnił ją Will. - Raczej grozi ci zalizanie na śmierć niż zagryzienie.

Jego słowa oraz uścisk ręki ośmieliły ją na tyle, że zrobiła krok do przodu.

- Kłębek, to jest Bess - przedstawił ją Will, a pies ponuro podał łapę. Tłumiąc śmiech, Bess wzięła ją do ręki i potrząsnęła na powitanie.

- Jak się masz, Kłębek? - powiedziała z powagą. Zaryzykowała pogłaskanie psa po zmarszczonym fraszobliwie czole i ze zdumieniem odkryła, że jego sierść również w dotyku przypomina ścierkę do naczyń. Kiedy zabrała dłoń, pies wyciągnął przed siebie szyję, domagając się dalszych pieszczot Bess roześmiała się. - Widzę, że jesteś dużym dzieckiem, Kłębek. - Podrapała go za uchem, a zwierzę przymknęło z lubością swoje żółte ślepia i wsparło o nią ciężki łeb.

- Jest jeszcze gorszy - odezwał się Will. - Jeśli mu pozwolisz, wejdzie ci na głowę.

Bess mówiła coś do psa i przytulała się do niego, najwyraźniej nieświadoma faktu, że cała jej granatowa sukienka pokryta jest bladą sierścią.

- Dobrze już, Kłębek, dosyć tego. Połóż się - zdecydował w końcu Will.

Kłębek spojrział na nich z wyrzutem, po czym uwalął się pod krzesłem.

- Chyba nigdy nie widziałam takiego psa - powiedziała w zamyśleniu Bess.

- Jest tylko jeden Kłębek na świecie - Will zgodził się z uśmiechem.

Podszedł do zlewu, żeby opłukać ręce, a kiedy Bess zaofiarowała się z pomocą, pokazał jej, gdzie są naczynia i sztuce.

- Skąd go masz? - zapytała, wyjmując z szafki dwie miski.

Zauważyła, że ma całą zastawę, a nie, zwyczajem kawalerów, tylko pojedyncze naczynia.

- Znalazł go i przywiózł jeden z ludzi szeryfa. - Otworzył lodówkę. Była dobrze zaopatrzona, lepiej niż jej własna. - Był bezdomny, żył tym, co znalazł na śmietnikach. Czasem polował na kurczęta, co prawdopodobnie tłumaczy fakt, że ktoś do niego strzelał.

Bess znieruchomiała.

- Był postrzelony?

- Tak. - Usłyszała w jego głosie gniew.

- I postanowiłeś go zatrzymać?

Wzruszył ramionami i położył na desce do krojenia dorodny melon.

- Nie miałem psa - odparł.

Ukryła uśmiech i rozłożyła naczynia i sztuce na stole.

- No i jak długo już go masz? - zapytała.

- Prawie trzy lata. Dostałem go wkrótce po tym, jak się tu sprowadziłem. - Otworzył szufladę i wyjął z niej długi nóż, miskę i

łyżeczkę do lodów. Przekroił melona na dwie połówki i szybko wyluskał nasiona za pomocą łyżeczki.

Korzystając z okazji, Bess rozejrzała się po wnętrzu. Stół i krzesła były stare, ale reszta musiała być chyba niedawno zmodernizowana. Na ścianach zaś, hm...

- Jak ci się podoba moja tapeta? - zapytał niewinnie Will, który już wcześniej zauważył, jakie wrażenie zrobił na niej ten element wyposażenia.

- Jest... niezwykła. Nie wydaje mi się, żebym gdziekolwiek widziała podobny wzór - odparła dyplomatycznie.

- Nazywam ją „Miłość niejedno ma imię”. - Był gotów się założyć, że Bess nie zdoła długo utrzymać tej swojej kamiennej powagi.

- Chyba wiem, dlaczego.

Tapeta przedstawiała kobietę i mężczyznę w pełni małżeńskiego szczęścia. Na jednym z obrazków żona tłukła męża patelnią; na innym on ciągnął ją za ucho. Wyjątkowego charakteru dodawały scenom wyjątkowo jaskrawe kolory.

- Jest jednym z powodów, dla których kupiłem ten dom - dodał, a ona popatrzyła na niego tak, jak gdyby zastanawiała się, czy jest niebezpieczny, czy też tylko łagodnie upośledzony umysłowo. Will wygrałby swój zakład, bowiem w następnej chwili Bess parsknęła swobodnym, naturalnym śmiechem.

- Przepraszam - sapnęła. - Tylko że ta tapeta jest taka....

- Znów chwycił ją atak śmiechu, więc tylko bezradnie wzruszyła ramionami.

- Brzydka? - zasugerował. - Ohydna? Tandetna?

- Mhm - pokiwała energicznie głową. - A najgorsze jest to, że łatwo się do niej przyzwyczaić. Po chwili zaś... – tym razem w jej śmiechu zabrzmiało niedowierzanie - po chwili można ją nawet polubić.

- Mowy nie ma. Mieszkam tu już rok i wcale jej nie lubię. Po prostu nie mam czasu, żeby coś z nią wreszcie zrobić.

Bess znowu zachichotała. Ten rozkosznie beztroski dźwięk wypełnił kuchnię, przypominając mu, jak ciche jest zazwyczaj to pomieszczenie. Will uświadomił sobie, że od tej chwili w ciszy tej będzie także pustka.

Szybko odwrócił się w stronę lodówki.

- Na co masz ochotę? - zapytał. - Mleko, woda mineralna, piwo?

- Mleko. - Uśmiechnęła się, kiedy napełnił jej szklanke, i usiadła. - Skąd wiedziałeś, że nic nie jadłam?

- Wyglądasz na kobietę, która regularnie opuszcza posiłki.

Zastanawiała się, czy powinna poczuć się obrażona. Właśnie oznajmił jej w nieco zawołowanej formie, że przypomina tyczkę, ale w końcu każdego ranka lustro mówiło jej to samo. Obrażać się na słowa prawdy byłoby hipokryzją. Rzeczywiście regularnie opuszczała posiłki i zbyt często jadała w barach szybkiej obsługi.

Will zajął miejsce i bez pytania wziął jej miskę. Napełnił ją chili aż po same brzegi.

- Tylko tyle? - zapytała, wyjmując mu ją z rąk.

- Weźmiesz sobie dokładkę - powiedział poważnie, gdy Bess zanurzyła łyżkę w swojej porcji. - Gdyby ktoś cię nie znał, mógłby pomyśleć, że jesteś głodna.

- Jestem - zapewniła go. - To bardzo smaczne.

- A więc smacznego. - Podniósł szklanke mleka i wypił całą zawartość.

- Mówiłeś, że przeprowadziłeś się tu trzy lata temu - zaczęła. Swój głód już zaspokoila, ciekawości jeszcze nie. - Gdzie wcześniej mieszkałeś?

- W okolicach Bostonu. Dokładnie w Cambridge.

- Dlaczego zdecydowałeś się na East Ridley?

- Po rozwodzie uznałem, że będę szczęśliwszy w jakimś małym miasteczku, gdzie zajmę się i małymi, i dużymi zwierzętami. - Nałożył sobie drugą porcję chili. - Przez dwa lata szukałem odpowiedniego domu, no i znalazłem ten.

- Jak długo byłeś żonaty? - Rozwód nie był niczym nadzwyczajnym, jednak dziwiło ją, że właśnie on był rozwiedziony. Instyktownie wyczuwała, że jeśli Will Shedd wiązał się z kobietą, to z mocnym postanowieniem, że nie opuści jej do końca życia. Ciekawe, co go skłoniło do złamania małżeńskiej przysięgi.

- Siedem lat.

- Co takiego się stało? - Nie chciało jej się nawet zachowywać pozorów subtelności.

- Odkryliśmy, że mamy w życiu inne cele - oznajmił rzeczowym tonem, chociaż w jego oczach pojawił się ten sam dziwny wyraz, który spostrzegła wczoraj, kiedy zapytała o dzieci. I tym razem nie zdążyła go jednak rozpoznać ani nazwać. - Planowaliśmy powiększenie rodziny tuż po tym, jak moja żona rozpocznie praktykę prawniczą, ale ona nagle zdała sobie sprawę, że właściwie to w ogóle nie chce mieć dzieci. - Will podniósł karton z mlekiem. - Jeszcze trochę?

- Poproszę. - Podniosła szklanę do ust i mechanicznie wypila kilka łyków. W jego wyjaśnieniu nie było niczego tragicznego ani dramatycznego. Will i jego żona nie zgadzali się ze sobą w zasadniczej

kwestii, w której nie może być kompromisów. Albo się ma dzieci, albo się ich nie ma.

Bess ujrzała przed oczyma kobietę, która była całkowicie skoncentrowana na swojej karierze, całą sobą nastawiona na sukces - kobietę taką jak ona. Czy jego żona zdawała sobie sprawę, z czego rezygnuje?

- Może jeszcze chili? - zaproponował.

- Odrobinę.

Sięgnął po miskę, zastanawiając się nad przyczyną nagłej melancholii, która odmalowała się na jej obliczu. Celowo nałożył więcej, niż prosiła, a potem spojrzał na nią wyzywająco. Wolał się z nią droczyć i drażnić, niż pozwolić, aby dręczył ją smutek. Do licha, które z nich bardziej potrzebowało pociechy?

Wydawało się, że dopiero co zasiedli do obiadu, a on już odprowadzał ją do samochodu. Kiedy przechodzili obok jego wysłużonego auta, starego Bronco, Bess zajrzała z ciekawością do środka.

- Widzę, że przerobiłeś swojego Bronco na ruchomą klinikę weterynaryjną.

Will pokiwał głową.

- Przyjmuję tyle samo pacjentów na wyjazdach, co tutaj - odparł i roześmiał się nagle. - Tutejsze dzieciaki nazywają mój samochód „Broncozaurus”.

- Jest pewne podobieństwo - zawtórowała mu Bess.

I rzeczywiście, ze swoją ciężką kratownicą, masywną sylwetką i wielkimi oponami Bronco mógł się kojarzyć z prehistoryczną bestią.

Kiedy zatrzymali się przy aucie Bess, Will popatrzył jej w twarz, mrużąc lekko oczy w popołudniowym słońcu.

- No cóż - uśmiechnęła się do niego - jeszcze raz dziękuję za obiad.

- Proszę bardzo - odparł.

Kiedy obwieściła, że czas na nią, nie protestował. Wiedział, że Bess wciąż jeszcze potrzebuje pretekstu, aby tu przyjechać, a potem być razem z nim - odwiedziny kota, obiad. Na dzisiaj zapas się wyczerpał, ale jutro...

- Jesteś pewien, że nie będę ci przeszkadzała, jeśli jutro wieczorem wpadnę na chwilę do Elektroluksa? - upewniła się.

Mówił jej już, że jest pewien. Ustalili to przy stole.

- Nie, nie będziesz przeszkadzała - powtórzył.

Bess usłyszała za sobą ciche plaśnięcie i obróciła się z zainteresowaniem.

- O, masz tu drzewo z rajskimi jabłuskami! - zawołała z zachwytem. Jabłoń rosła nieco z boku podwórza i cała obsypana była czerwonozłotymi owocami wielkości śliwek. W tej samej chwili na ziemię upadło kolejne jabłuszko.

- Tak to się nazywa? - westchnął z niezadowoleniem. - Mam zamiar ścinać je w przyszłym tygodniu.

- Dlaczego? - popatrzyła na niego przerażona. - Przecież to śliczne drzewko!

- I cholerny kłopot. Jabłka są maleńkie i tak kwaśne, że nawet ptaki nie chcą ich jeść. Spadają i gniją w trawie.

- Można z nich zrobić fantastyczną galaretkę - zapewniła go.

- Ja nie robię galaretek, Bess. - Popatrzył na nią chłodno.

- Każdy umie zrobić galaretkę - odwzajemniła mu się spojrzeniem pełnym udawanej cierpliwości. Ponownie popatrzyła na drzewko i mruknęła. - To grzech pozwolić im się tak marnować.

Will w zamyśleniu przyjrzał się owocom.

- Ty też pewnie nie umiesz robić galaretki? - zapytał, żeby ją sprowokować.

- Potrafię je robić od jedenastego roku życia! - odparła z obrażoną miną.

- Pewnie pochłania to mnóstwo czasu.

- Nieprawda. Zajmuje dwa dni, i tylko dlatego że ugotowane jabłka muszą poleżeć przez całą dobę. Tak naprawdę to robota na dwie godziny.

Udawał, że się zastanawia, po czym potrząsnął głową.

- Chyba lepiej będzie jednak je ścinać.

- Nie, Will, nie! To naprawdę łatwe! - sprzeciwiła się i nagle, ku swojemu zdziwieniu, usłyszała swój głos: - Pokażę ci, chcesz?

- Dobrze - zgodził się łaskawie, a w głębi duszy poczuł ulgę i satysfakcję. - Zaczniemy jutro wieczorem.

- Powiedz szczerze, Bess, czy deklarowanie chęci robienia galaretki nie brzmi nieco dziwnie w ustach kobiety, która zawsze twierdziła, że tego nienawidzi?

Bess popatrzyła na swoje koleżanki. Zdumienie na twarzy Keeley świadczyło o tym, że zgadza się ze zdaniem Abby. Szły teraz na koktajl, który miał być faktyczną inauguracją zjazdu absolwentek. Przed chwilą, zupełnie bez zastanowienia, obwieściła im, że zamierza zrobić galaretkę z rajskich jabłek.

Mogła zrozumieć ich niedowierzenie - jej samej trudno było w to uwierzyć. Długie godziny, które spędzała z matką na zbieraniu owoców z niewielkiego sadu, kojarzyły jej się zawsze z ich ubóstwem. Skakała z radości, kiedy matka wyszła ponownie za zamożnego mężczyznę, gdyż oznaczało to, że nie będzie musiała przyprawiać już kiszonych ogórków ani łuskać groszku. Fakt, że matka nie zarzuciła tych praktyk, bardzo ją rozżalił; a teraz sama zamierzała do nich wrócić.

- Macie rację - zgodziła się po namyśle. Jej koleżanki wymieniły znaczące spojrzenia.

- Niewiele nam opowiedziałas o tym Willu, Bess - zauważyła od niechcienia Keeley. - Jaki on jest?

- Wysoki. - Wzruszyła ramionami. Nie miała ochoty o nim rozmawiać. - Kilka lat starszy.

Keeley zamierzała wydobyć z niej nieco więcej szczegółów, lecz nagle przerwał im wesoły, bez troski śmiech. Przeszły właśnie obok nich trzy studentki letniego obozu naukowego i Bess poczuła się tak, jak gdyby znalazło się przed nimi magiczne lustro. Trzy młode kobiety różnego wzrostu przypominały ją i jej przyjaciółki sprzed lat. Po minach Keeley i Abby odgadła, że „dziewczyny” pomyślały o tym samym.

Studentki zauważyły nagle młodego robotnika, pracującego po godzinach przy remoncie uniwersyteckiej biblioteki, i ich głosy stały się nagle bardziej ożywione. Udawały, że go ignorują, lecz z pewnością zwróciły uwagę i odpowiednio skomentowały jego przystojną sylwetkę. On również udawał, że ich nie zauważa, jednak trzy obserwatorki dostrzegły zalotne spojrzenia i uśmieški.

- My też byłyśmy takie głupie? - mruknęła Abby, patrząc na tę scenę.

- Bess nie - roześmiała się Keeley. - Ona była rozsądna. Wiedziała dobrze, czego chce. i nie pozwalała, żeby rozproszyła ją przystojna buzia czy opięte dżinsy.

Słyszac śmiech Abby, Bess znów poczuła się inna, tak jak wtedy, kiedy Abby czy Keeley rozpaczały z powodu kolejnych nieszczęśliwych miłości. Współczuła im wtedy, ale czuła się też przy nich jak osiemdziesięcioletnia ciotka, której nie dane było zaznać tego rodzaju cierpień.

Owszem, podkochiwała się w kilku mężczyznach, ale rozumiała, że musi za wszelką cenę unikać romantycznych uniesień. Choć mogło wydawać się to irracjonalne, czasami zazdrościła Keeley i Abby ich krótkotrwanie złamanym serc.

Gdy tylko dotarły na przyjęcie, Abby zaraz dała się porwać dawnemu nauczycielowi psychologii. Przedstawiła go im nawet, lecz szybko zostawiły ich samych pod jakimś błahym pretekstem.

Gdy odeszły na bok, Keeley zapytała:

- O co się założysz, że doktor Joshua Lucas poprosił ją, żeby towarzyszyła mu przez resztę wieczoru? Zdaje się, że wczorajsze popołudnie też spędzili razem.

Bess uśmiechnęła się tylko. Rzeczywiście. Abby i profesor zdawali się mieć ku sobie - i to znowu było niczym powrót do przeszłości. Ileż to razy widziała dwudziestoparoletnią Abby, pochyloną pilnie nad notatkami z psychologii...

Keeley wzięła sobie kieliszek wina i zdecydowała, że pójdzie „rozpracować tłum”, jak to wdzięcznie ujęła. Bess została sama. Była zdumiona, że rozpoznaje ją tak wiele osób, choć nie dawała się wciągnąć w żadne dłuższe dyskusje. Przez chwilę czuła się zadowolona, stojąc po

prostu pod ścianą i sącząc wino, które wzięła z tacy od przechodzącej kelnerki. Wkrótce zrozumiała, skąd się bierze to zadowolenie.

Z wyjątkiem garstki wykładowców płci męskiej i dzielnych mężów, tłum składał się wyłącznie z kobiet. Bess skoncentrowała się na nielicznych mężczyznach - nie na żadnym w szczególności, po prostu ogólnie - aby porównać ich z Willem Sheddem. Podświadomie usiłowała wyobrazić go sobie tutaj. Zastanawiała się, czy pasowałby do tego miejsca, i doszła do wniosku, że owszem, jednak nie do końca.

Wyróżniałby się w tym towarzystwie, i to nie tylko z powodu potężnego wzrostu. Różnica między nim a znajdującymi się w pomieszczeniu mężczyznami była bardziej subtelna. Większość obecnych tutaj panów, zwłaszcza Joshua Lucas, była w dobrej kondycji, lecz zawdzięczali ją oni ćwiczeniom na siłowni albo treningom na kortach tenisowych. Siła Willa brała się natomiast z ciężkiej pracy fizycznej, była w nim twardość, której brakowało innym. Popatrzyła bezmyślnie na salę, a przed oczyma stanął jej wysoki mężczyzna w podartym podkuszulku...

- Bess? Bess Hilliard?

Ze zdziwienia w głosie kobiety Bess wywnioskowała, że ta zwraca się do niej nie pierwszy raz. Popatrzyła na niską, pulchną postać przed sobą, a nie rozpoznawszy jej, zerknęła dyskretnie na identyfikator z nazwiskiem, przypięty do jej kostiumu.

- Eileen? - Starła się, aby wypadło to w miarę naturalnie.

- Eileen Beason?

- Teraz nazywam się Rhoden, ale tak, to ja, czworo dzieci i trzydzieści kilo później - roześmiała się kobieta.

- Czyli nie muszę pytać, co porabiałaś przez ostatnie piętnaście lat - stwierdziła Bess z uśmiechem. - Czwórka dzieci. Jak miło!

- Nie jestem pewna, czy „miło” to odpowiednie słowo - popatrzyła na nią Eileen. - A ty? Wyszłaś za męża? Masz jakieś dzieci?

Przez kilka minut opowiadały sobie o najważniejszych wydarzeniach ostatnich piętnastu lat.

- Widziałaś już Abby i Keeley? - zapytała w końcu Bess.

- Tak. Abby łązi z doktorem Lucasem. Miałam wrażenie, że im przeszkodziłam, więc tylko się przywitałam. Za to porozmawiałam trochę z Keeley. Przykro mi z powodu jej męża.

- Eileen pociągnęła łyk wody z puszki. - Widziałam ją już zresztą wcześniej, z Dominikiem, ale nie mogłam się zatrzymać i pogadać.

Bess omal nie zakrztusiła się swoim winem.

- Z Dominikiem Vitallim? - zapytała z niedowierzaniem.

- Owszem. Ma teraz warsztat stolarski i robi artystyczne meble na zamówienie. Słyszałam, że nieźle mu się powodzi.

Ach, więc to dlatego Keeley tak niechętnie mówiła o tym, co robiła koło południa. I pewnie dlatego była taka nerwowa wczorajszego wieczora. Jedyna prawdziwa kłótnia między trójką przyjaciółek dotyczyła właśnie Dominika. Był tak zwanym „złym chłopakiem”, studiował nie w szacownej uczelni, lecz na politechnice w Riverdale. Oczywiście Bess i Abby uważały, że nie zasłużył sobie na tę etykietkę, i bardzo go lubiły, bo miał zabójczy wygląd i dumny charakter. Keeley natomiast, choć chodziła z nim na randki, to traktowała go nie do końca poważnie.

Bess i Abby starały się dowieść, że on podchodzi do ich związku bardzo serio i że nie powinna tak postępować, ale Keeley je zlekceważyła. W końcu rozstała się z nim i wyjechała po studiach do Europy. Chłopak ciężko to przeżył, ale wcale nie wiadomo, czy Keeley nie cierpiała jeszcze

bardziej. A jeśli teraz znów zacznie się z nim spotykać, może ponownie narazić się na kłopoty.

- Keeley wspominała mi, że łączy cię coś z najbardziej pożądaną partią w East Ridley - zmieniła temat Eileen.

- Czyli z kim?

- Z Willem Sheddem.

- Och, zawiozłam tylko do niego rannego kota. - Wzruszyła ramionami Bess i pociągnęła łyk wina. - Robi wrażenie, co? - dodała, mając na myśli, oczywiście, jego wygląd.

- Mógłby - odpowiedziała poważnie Eileen. - Ale nie wykorzystuje tego. Spotyka się z paroma samotnymi kobietami w mieście, ale chyba żadnej nie traktuje poważnie. Carlynn Sisk - kiwnęła głową w stronę kobiety, stojącej parę metrów dalej - to jedna z nich. Pamiętasz ją? Kiedyś miała bure włosy i płaską klatkę piersiową...

Bess uważnie przyjrzała się postawnej, rudowłosej teraz Carlynn. Czy to do niej dzwonił wczoraj, żeby powiedzieć, że się spóźni, zastanowiła się i doszła do wniosku, że nigdy nie przepadała za Carlynn Sisk.

- Dobrze go znasz?

- Chyba dosyć dobrze. Bob, mój mąż, grywa z nim w pokera. Will ma całkiem dochodową klinikę, pracuje też dla schroniska dla zwierząt. Przynosi niemal wszystkie bezdomne zwierzęta, jakie zobaczy, ale zostawił sobie tylko tego potwora, Kłębka, reszcie znalazł domy. - Eileen roześmiała się nagle. - Jest w tym całkiem niezły. Wczoraj Bob też wrócił z kociakiem.

Bess zawtórowała koleżance, ale jej śmiech zabrzmiał nieco nerwowo.

Czy właśnie dlatego Will Shedd poprosił ją, żeby została na lunch?
Czy traktował ją jak bezdomną istotę, której mu żal i której musi pomóc?

PONIEDZIAŁEK

- Joshua Lucas dobrze wygląda jak na swoje lata, prawda? - zapytała Abby.

Bess i Keeley wymieniły rozbawione spojrzenia. Abby niesłychanie nieudolnie udawała nonszalancję. Podkochiwała się w Lucasie jeszcze na studiach i sądząc z tego, co widziały ubiegłego wieczora, chyba wcale jej to nie przeszło.

- Jak na każde lata - odparła Bess.

Wróciła do przeglądania garderoby, aż w końcu zdecydowała się włożyć obcisłą, biało-niebieską sukienkę w groszki.

- Sama ją zrobiłaś, Bess? - zapytała Keeley.

- Nie, już nie szyję.

Abby spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Dlaczego nie? - wykrzyknęła. - Przecież tak dobrze ci szło! Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak świetnie szył.

- Bo już nie muszę nosić własnoręcznie szytych ciuchów - ucięła.

- Własnoręcznie szytych? - roześmiała się Keeley. - Twoje stroje nie wyglądały na własnoręcznie szyte. Pamiętasz, ile razy ci zazdrościłam, choć przecież nie narzekałam na brak ubrań?

Bess popatrzyła na koleżanki. Zawsze uważała, że chwaliły jej stroje, ponieważ jej współczuły; współczuły, że nie ma gotowych, eleganckich sukienek, że musi je sama wymyślać, a potem szyć. Nie przywiązywała

uwagi do tych komplementów, bo była pewna, że dyktuje jej litość. Jednak dzisiaj nie było w nich litości, tylko szczerzy podziw. Czyżby wtedy też tak było, a ona, przeczulona na punkcie własnego niedostatku, tego nie widziała?

- Dziękuję wam - powiedziała po prostu. Za ten dzisiejszy komplement i za wszystkie kiedyś, dodała w myślach.

Wsunęła sukienkę przez głowę, po czym cofnęła się o krok, żeby przejrzeć się w lustrze. Przy okazji nadepnęła na porzucony pantofel. Podniosła go i rozejrzała się po pomieszczeniu.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała i roześmiała się bezradnie.

- W co nie możesz uwierzyć? - zapytała Abby, usiłując jednocześnie nałożyć tusz na rzęsy.

- Ten pokój. Nie spędziłyśmy tu jeszcze nawet dwóch dni, a już wygląda tak źle, jak zawsze. - Machnęła ręką, wskazując buty walające się po podłodze, ubrania na fotelach i łóżkach, lakiery i pianki do włosów, szczotki oraz inne drobiazgi, zajmujące dosłownie każdy centymetr wolnej przestrzeni.

- To prawda - przytaknęła Keeley, a w jej głosie dało się słyszeć nutkę szczerzej satysfakcji.

- Nie mam pojęcia, dlaczego co roku prosiliśmy o ten sam pokój - westchnęła Abby. - Przecież pokoje narożne są większe.

- Ale tam nie ma tarasów - przypomniała jej Bess i wskazała drabinkę przeciwpożarową.

- Bess? - ostry głos Keeley przerwał śmiech obu przyjaciółek. Keeley stała przy regale, którego górna półka służyła im jako miejsce na lokówki, suszarki i wałki. Teraz leżał na niej sprzęt najnowszej generacji. Z jednym

wyjątkiem. - Powiedz, że to nie jest ta sama lokówka, której używałaś, kiedy byliśmy na pierwszym roku.

- Co takiego? - spytała z niedowierzaniem Abby. - Chyba jej jeszcze nie używa?

- No to zobacz. - Keeley wyciągnęła lokówkę w oskarżycielskim geście. - Odpadła rączka, a to jest wygięte.

Abby aż sapnęła z wrażenia.

- Bess, myślę, że pieniądze za nią dawno ci się zwróciły. Daj jej już odpocząć.

Bess popatrzyła na koleżanki i usiłowała zrozumieć, dlaczego tak nagle zdenerwowały się na nią z powodu czegoś tak głupiego, jak stara lokówka.

- O co wam chodzi? Jest jeszcze dobra - wyjaśniła spokojnie.

Obie współlokatorki potrząsnęły głowami i spojrzały na siebie wymownie. Bess wzruszyła ramionami i zapięła sukienkę. Pomyślała, że zarówno Keeley, jak Abby mają dzisiaj przemawiać na seminarium, więc pewnie dlatego tak się denerwują.

W zamyśleniu wygładziła swój strój. To jednak nie mogły być tylko nerwy. Co takiego powiedziała Abby pierwszego wieczora? Że to pocieszające, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają? A jednak się zmieniają. One się zmieniły, a te zmiany nie wyszły im na dobre. Uświadomiły to sobie - i stąd ta drażliwość.

Abby i Keeley poniosły wielkie straty. Przysłowiowy czepek, w którym rzekomo urodziła się Keeley, nieco się przetarł, a i Abby nie jest już tak szczęśliwa, pogodna i tryskająca optymizmem, jak była kiedyś. A ona, Bess?

Czy nie przyjechały wszystkie trzy do Barlett po to, aby znowu powrócić do prostszych, szczęśliwszych czasów, kiedy wszystko wydawało się możliwe? Czy nie chodziło im o to, aby pocieszyć się iluzją, że przyjaciółki z dawnych lat są takie same? Lecz przecież nie są takie same, zmieniły się. Nie we wszystkim, ale jednak. Podjęły jakieś decyzje, popełniły jakieś błędy i teraz nie można już niczego zmienić. Nie da się odzyskać tego, co na zawsze utracone.

- Ile metrów, proszę pani?

- Dwa.

Kiedy zakończyły się seminaria, Bess powędrowała do centrum East Ridley, aby znaleźć sklep z materiałami. Nie była w nim od lat i teraz też by tam nie poszła, gdyby nie potrzebowała cienkiego płótna, potrzebnego do zrobienia galaretki. W przeciwieństwie do Keeley czy Abby nigdy nie uważała zdolności krawieckich za godną podziwu umiejętność. Szycie to była dla niej przykra konieczność, a w dniu, w którym stać ją było wreszcie na kupno eleganckich ubrań w sklepach, odstawiła na zawsze swoją maszynę.

Podczas gdy sprzedawczyni odmierzają tkaninę, Bess rozejrzała się po sklepie. Jedna z kupujących dotykała wspaniałej, lśniącej materii w tropikalne wzory, z której można by uszyć fantastyczną koszulę. Tuż obok kilka kobiet i dziewcząt przeglądało katalogi. Czując dziwną melancholię, Bess patrzyła, jak kartkują strona po stronie, zupełnie jak ona wiele lat wcześniej.

Po wyjściu ze sklepu zerknęła na zegarek Keeley i Abby miały już plany na wieczór, więc zdecydowała, że zje kolację w akademickiej stołówce. Do tego czasu mogła połączyć po sklepach i powłóczyć się po mieście.

Kiedy doszła do rogu, popatrzyła na okoloną drzewami boczną uliczkę i nagle jej nogi same ruszyły w tamtym kierunku. Tutaj domy były nieco starsze, ale zadbane, o równo przystrzyżonych trawnikach i kolorowych kwiatach. Niemal na każdej werandzie rosło geranium lub nagietki. Po jednym z ogródków biegały ubrane w stroje kąpielowe dzieci. Bess pomyślała, że zapomniała już, jak miłym miasteczkiem jest East Ridley.

Wróciła na główną ulicę. Na widok budynku po przeciwnej stronie serce zabiło jej żywiej. Przeszła przez jezdnię i okrążyła budynek, bo wiedziała, że frontowe wejście na pewno będzie zamknięte. Zastukała do drzwi z ciężkiej stali i tak jak się spodziewała, otworzył jej sam właściciel.

- Bess! Zastanawiałem się, czy jeszcze nas odwiedzisz. Wejdz, wejdz! - Z wyjątkiem całkiem siwych włosów i nieco skromniejszej postury Lloyd Crosby był dokładnie taki, jakim go zapamiętała. Trochę niższy niż ona, miał wygląd zadowolonego z siebie prezesa małomiasteczkowego banku. To on dał jej pierwszą pracę, jeszcze przed ukończeniem studiów. Od tamtego czasu wciąż pozostawali w kontakcie.

- Mam nadzieję, że nie gniewa się pan, że zjawiłam się bez zapowiedzi - zaczęła, kiedy prowadził ją do gabinetu.

- Wiesz dobrze, że tutaj nie przejmujemy się zapowiedziami - uśmiechnął się. Pomógł jej wejść na schodek i przyjrzał się jej uważnie. - Zobaczmy, jak zmieniło cię wielkie miasto. No, no... Dobrze wyglądasz. - Powiedział z uśmiechem. - A jak ci się podoba u nas?

Zbudowany na przełomie wieków budynek banku wyglądał tak, jak według Bess powinien wyglądać każdy bank - w niczym nie przypominał piramidy ze stali i szkła, w której teraz pracowała. Wewnątrz znajdowały się ciemne dębowe biurka, mosiężne okienka kas i srebrzyście połyskująca

marmurowa podłoga. Wszystko kojarzyło się ze stabilnością i trwałością. I nie bez powodu. Bank był równie solidny, co trzytonowe wrota, które strzegły do niego dostępu.

- Wszystko wygląda jak zwykle wspaniale, panie Crosby - powiedziała.

W jego gabinecie usłyszała, jakie to zmiany zaszły od czasu, kiedy po raz ostatni opuściła swoje piękne wiśniowe biurko. Bank przeszedł modernizację. Interesy szły dobrze. Jedyne problem stanowiło to, kto przejmie schedę po prezesie. Bank był interesem rodzinnym, a za biurkiem zawsze zasiadał jakiś Crosby. Żona obecnego potomka rodu nalegała, aby przeszedł na emeryturę, na co zresztą on sam miał już ochotę. Ponieważ jednak nie posiadał dzieci, zaś żaden z kuzynów nie wchodził w grę, nie miał go kto zastąpić.

I tak oto zarządzanie bankiem miał wedle wszelkich prognoz przejąć ktoś obcy, a tego właśnie obawiał się starszy pan. Wyznał, że poszukuje kogoś zdolnego, mądrego, a na dodatek takiego, który by zdecydował się tu zamieszkać na stałe i nie traktował prezesury w małym banku jako kolejnego etapu na drodze kariery.

- To świetna posada dla kogoś, kto ma zamiar założyć rodzinę w tym spokojnym otoczeniu - mówił, a Bess czuła, jak zaczyna niespokojnie bić jej serce. - No dobrze, wystarczy o mnie. - Pan Crosby poprawił się w krześle i oparł ręce na brzuchu. - Powiedz mi teraz o sobie. Przeszłaś długą drogę, Bess. - Pokiwał głową z aprobatą. - Zastępca prezesa. Na pewno wkrótce zajmiesz jego stanowisko, co? - Przyjrzał się jej uważnie. - Musisz być bardzo szczęśliwa.

- Tak. To zawsze był mój cel - odparła i nawet jeśli Lloyd Crosby spostrzegł, że nie skomentowała jego ostatniej uwagi, nie wspomniał o tym ani słowem.

- Przykro mi, kotku, muszę korzystać z każdej sposobności.

Will przejechał ręką po włosach i uśmiechnął się z zażenowaniem. Doszło do tego, że tłumaczył się przed zwierzęciem z motywów swojego postępowania.

Nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, był na to za stary. Niezależnie jednak od tego, co czuł do Bess Hilliard, przypadłość była poważna i mógł się założyć, że Bess też się na nią uskarża. Coś ich ku sobie pchało. Co?

Nieświadomie zgniół w palcach miękką tkaninę jej swetra.

Musiał przyznać, że zauroczenie było częściowo fizyczne, zmysłowe, ale przecież nie tylko. Zamierzał się przekonać, co jeszcze się kryje w jego sercu. I w sercu Bess, oczywiście. Jeśli tego nie zrobi, będzie żałował przez resztę życia.

Niestety, miał na to tylko tydzień, wyjątkowo niewiele jak na tak poważną sprawę.

Drgnął niespokojnie, kiedy usłyszał dźwięk, na który podświadomie czekał przez cały dzień. Będą robić galaretkę...

Zaśmiał się z siebie w duchu. Rzeczywiście musiał korzystać z każdej sposobności, żeby ją tu ściągnąć. Wyjaśnił to przecież przed chwilą kotu.

Bess zamykała właśnie drzwi samochodu, kiedy zza rogu domu wyłonił się Will.

- Cześć - powiedziała. - Widzę, że już przygotowałeś drabinę i wiadra.

- Tak, jestem gotowy.

- Świetnie. - O czym to wspominała Keeley? Że rozsądna Bess nie pozwalała, aby rozproszyła ją przystojna buzia i opięte dżinsy? Jakże mało ta Keeley wiedziała o swojej przyjaciółce! - Jak tam Elektroluks? - zapytała.

- W porządku. - Przynajmniej teraz nie musiał kłamać.

- To dobrze. Zaczynamy?

Zachód słońca miał nastąpić dopiero za godzinę, więc mieli mnóstwo czasu. Jednakże Bess natychmiast złapała za wiadro i zaczęła je napełniać leżącymi na ziemi owocami. Will wziął drugie i podszedł do drabiny.

- Jak dużo jabłek nam potrzeba? - zapytał.

- Wystarczą dwa wiadra - odpowiedziała.

- O cholera!

Początkowo sądziła, że odnosi się to do ilości jabłek, które będą musieli zebrać, ale szybko ujrzała, że nie w tym rzecz.

Tuż nad Willem znajdowała się sucha gałąź o drobnych odgałęzieniach, z których część zaplątała się właśnie w jego włosy. Próbował się oswobodzić, ale robił to tak nerwowo, że pogarszał tylko sprawę.

- Czekaj, Will! Pomogę ci. - Zrzuciła buty i podwinęła spódnicę, po czym wspięła się z drugiej strony drabiny, tam gdzie nie było normalnych stopni, tylko wąskie podpory.

- Do diabła, Bess, ostrożnie! - zaklął pod nosem z powodu bólu oraz jej brawury i złapał ją za ramiona, kiedy wydało mu się, że się zachwiała.

Ona jednak podwinęła tylko spódnicę jeszcze wyżej, aby wejść na następną podpórę.

Drabina zdecydowanie nie nadawała się do tego, aby chodzić po niej w wąskiej sukience i rajstopach, i Will powinien natychmiast kazać Bess zejść. Zanim jednak to zrobił, z zadowoleniem przyjrzał się smukłym udom kobiety.

- Bess, złaź! - rzucił wreszcie niecierpliwie. - Podrzesz sobie ubranie. O ile wcześniej nie spadniesz i nie skręcisz karku.

Ku jego irytacji, całkowicie go zignorowała, więc opuścił ręce na jej talię, usiłując ją zatrzymać.

- Nie bój się - wyrzuciła z siebie bez tchu. - Ja i mama zawsze zrywałyśmy owoce w ten sposób. Dzięki temu nie musiałyśmy za często przestawiać drabiny.

Przesunęła się ostrożnie w jego stronę, a on zacisnął mocniej dłonie na jej talii.

- Widzisz? Zaplątałeś się - mruknęła i zaczęła delikatnie rozplątywać jego włosy z suchych gałązek. Włosy Willa były mocne i miękkie, tak jak sobie wyobrażała.

Skrzywił się, kiedy pociągnęła mocniej jeden z kosmyków.

- Nie lepiej użyć piły? - burknął.

Bess roześmiała się ze współczuciem. Stanęła na palcach, żeby rozplątać ostatnie pasmo, i nagle śmiech zamarł jej w gardle. Poradziła sobie z jego dłońmi w talii i ciepłym oddechem za uchem, ale teraz, kiedy wspięła się o kilka centymetrów, znajdowali się na równym poziomie i patrzyli sobie prosto w oczy.

Poczuła nagle dziwne gorąco. Wiedziała, że powinna się odsunąć, ale nie miała siły, by to zrobić. Will był tak blisko, że mogliby dotknąć się ustami i sprawdzić, jak smakują.

Czy tego właśnie chciała?

Odsunęła się do tyłu, ale powoli, jakby we śnie. Spojrzała na niego i musiał widzieć, że jej oczy mają senny, niemal marzycielski wyraz, że usta rozchylają się lekko... Widział, bo wpatrywał się w nią z napięciem. Automatycznie oparła ręce na jego silnych ramionach. Nie mogła oprzeć się sile, która pchała ją w jego stronę.

Nagle oprzytomniała. Spięła się, odchyliła głowę i opuściła ręce wzdłuż ciała.

- Skończyłam. Jesteś wolny - powiedziała rzeczowym tonem.

Will niechętnie wypuścił ją z objęć. Wcale nie miał zresztą ochoty poprzestać na objęciach, ale szczyt drabiny nie był najlepszym miejscem na zaloty. Patrzył, jak Bess schodzi na trawę, zakłada buty, wyglądamy strój i na powrót staje się oschłą i zdyscyplinowaną kobietą interesu.

No, może tylko silnie zaróżowione policzki zdradzały, że jej serce nie jest jednak spokojne i obojętne.

I rzeczywiście, Bess czuła, jak przez jej ciało przewala się burza zmysłów. Ze złością zerwała jabłko z gałęzi. Co się z nią dzieje? Jest w końcu dojrzałą, doświadczoną trzydziestoosmiolatką, a nie jakimś podlotkiem, który znalazł się nagle na tylnym siedzeniu samochodu i odebrało mu rozum. Wiedziała przecież, że Will chce ją pocałować. Widziała to wyraźnie, czekała na to i pragnęła tego.

I oto nagle zmieniała się w szesnastolatkę - niezręczną, spiętą, zdenerwowaną i przestraszoną.

Zerwała kolejne jabłko i cisnęła je do wiaderka. Świetnie zdawała sobie sprawę, dlaczego tak właśnie się zachowała.

Cóż, prawda była taka, że Bess wcale nie była doświadczoną trzydziestoosmiolatką. Od kilku lat, kiedy zakończyła ostatni romans, jej stosunki z mężczyznami były albo natury zawodowej, albo luźne i powierzchowne. Nie miała czasu na poważniejsze historie, poza tym naprawdę mało interesowali ją osobnicy pici przeciwnej i nie reagowała na ich wdzięki. Aż do dzisiaj. Na Willa Shedda od początku zareagowała bowiem tak mocno, tak intensywnie, że jej zachowania i reakcje nie mogły mieć nic wspólnego z logiką czy zdrowym rozsądkiem. Z tego właśnie powodu uciekła niczym przestraszone, niedojrzałe dziecko...

Tego jednak nie mogła mu powiedzieć. Jeśli jeszcze nie zaczął się zastanawiać nad jej dziwnym zachowaniem, to wkrótce to zrobi. Będzie pewnie uważał, że jest infantylna i niezrównoważona, skoro zwykły, niezobowiązujący flirt traktuje z taką powagą.

- Więc ty i twoja mama zbierałyście dużo owoców? - usłyszała.

Po tym wszystkim, nad czym się zastanawiała, to pytanie wydało jej się tak prozaiczne, że omal nie wybuchnęła śmiechem. Pomyślała jednak, że właśnie takiego pytania było trzeba, aby przerwać niezręczną ciszę.

- Tak, każdego lata. Morele, brzoskwinie, gruszki, śliwki, wiśnie i jabłka. Wszystko. Nie jadałyśmy ich same, tylko sprzedawałyśmy - wyjaśniła.

- Mieliście farmę?

Zerknęła zza gałęzi i zauważyła, że przystawił drabinę bliżej niej.

- Nie, tylko ogród - roześmiała się. - Niektórzy ludzie kolekcjonują znaczki czy monety. Mój ojciec kolekcjonował drzewa owocowe.

- Dalej je zbiera?

- Nie, umarł, kiedy miałam jedenaście lat.

Will popatrzył na swoje wiadro. Uznał, że zebrał już wystarczająco wiele owoców, i zszedł z drabiny. Bess bez słowa wzięła do ręki swoje.

- Musiało wam być ciężko - powiedział łagodnie, kiedy ruszyli w stronę domu.

Popatrzyła na niego, po czym szybko odwróciła wzrok.

- Rzeczywiście. Ojciec założył małą firmę i wkrótce potem się rozchorował. Trzy miesiące później już nie żył. Mama nie mogła prowadzić interesów, więc sprzedała firmę, żeby spłacić pożyczkę, którą tata wcześniej zaciągnął. Byłyśmy też winne mnóstwo pieniędzy za leczenie ojca, a nikt z nas nie miał żadnego ubezpieczenia. Mama spłaciła część długów, ale zaraz potem zaciągnęła następne, bo odsetki narastały zbyt szybko, a były jeszcze przecież do zapłacenia comiesięczne rachunki. Myślała nawet o sprzedaży domu, no ale przecież musiałyśmy gdzieś mieszkać.

- Byłyście tylko we dwie, ty i mama, tak?

- Tak.

- Matka mogła ogłosić upadłość firmy. To byłoby usprawiedliwione w waszej sytuacji - powiedział łagodnie.

Tym razem popatrzyła mu prosto w oczy.

- Pewnie tak - powiedziała z niewyraźnym uśmiechem. - Ale Hilliardowie zawsze spłacają swoje długi.

Will wiedział już, po kim odziedziczyła tę wysoko uniesioną głowę i twarde spojrzenie. Przede wszystkim zaś cieszył się, że Bess zaczęła wreszcie opowiadać o sobie.

- Domyślam się, że następne lata nie były łatwiejsze - zagadnął neutralnym tonem, starając się, aby w jego głosie nie zabrzmiał chociażby cień litości.

- Nie było tak źle. - Bess wzruszyła ramionami - Jakoś sobie radziłyśmy. Mama nigdy wcześniej nie pracowała, więc na początku zaproponowano jej pracę w sklepie. Poszła jednak na kursy wieczorowe i została księgową. Natomiast ja, kiedy miałam dwanaście lat, nauczyłam się szyc i sama szyłam swoje ubrania. Poza tym miałyśmy wielki ogród i czego nie zjadłyśmy, to sprzedawałyśmy. Udało się uratować dom przed upadkiem, dosłownie i w przenośni, bo był już stary. Na szczęście dostałam też stypendium, które częściowo pokrywało koszty studiów.

Mówiła spokojnie, bez emocji, i te zwierzenia miały zbawienny wpływ na jej duszę. Chyba jeszcze nigdy nie udzieliła równie wyczerpującej informacji na swój temat. Nawet Bess i Abby musiały się domyślać wielu rzeczy. Dlaczego to zrobiła?

To samo pytanie zadawał sobie Will. Gdy jej słuchał, myślał o własnym, szczęśliwym i dostatnim dzieciństwie. Jego rodzice nie byli wprawdzie bogaci, ale nigdy nie brakowało mu pieniędzy na rzeczy, bez których dzieciakom trudno jest się obejść - kino, wakacje, hamburgery, nowe dzinsy.

A Bess? Pensja matki szła pewnie w całości na podstawowe potrzeby, zaś pragnienia dziewczynki rzadko były realizowane, jeśli w ogóle. Ona szyła sobie ubrania, a jej rówieśnice bawiły się lalkami Barbie.

W jej głosie nie wyczuwał jednak ani zgorzknienia, ani litości nad sobą. Umiała widać pozbierać się jakoś i żyć dalej. Była twarda. Jeszcze jako dziecko, potem na studiach, no i teraz...

Rozumiał już, dlaczego Bess Hilliard zajęła się akurat bankowością. Była to oczywista decyzja kogoś, kto bardzo wcześnie nauczył się, że pieniądze odgrywają w życiu ogromną rolę. Gdy na nią patrzył, nie żałował jej - ostatecznie poradziła sobie w życiu nie najgorzej. Żałował za to dziecka, którym kiedyś była. Nie zamierzał oczywiście mówić jej o tym, bo spodziewał się, że wcale nie chce jego współczucia.

Oparł drabinę o poręcz werandy, po czym oboje weszli na schodki, prowadzące do tylnego wejścia.

- Czym się teraz zajmuje twoja mama? - zapytał, otwierając drzwi.

- Dwa lata temu wyjechała na wycieczkę, gdzie rozkochała w sobie pewnego bogatego wdowca. Śledził ją przez całą drogę do domu, wyobrażasz sobie? Pół roku ją przekonywał i w końcu mu się udało. Wyszła za niego i mieszkają teraz w New Hampshire. - Uśmiechnęła się, jakby ta opowieść poprawiła jej humor.

- To dobrze, że nie jest sama - Will odwzajemnił jej uśmiech.

„Pół roku ją przekonywał...”

Hm, widocznie upór był rodzinną cechą Hilliardów.

Drzwi, które otworzył, prowadziły do pomieszczenia gospodarczego połączonego ze spiżarnią. Kolejne drzwi zaś - do kuchni.

I właśnie te drzwi były teraz lekko uchylone, na progu zaś Willa i Bess oczekiwali niezwykle komitet powitalny.

- Kudłacz? Elektroluks? Jak się wydostaliście? Kłębek wam pomógł? - zapytała Bess.

- Wypuściłem je, żeby się za bardzo nie nudziły. - Will postawił swoje wiadro na kuchennym blacie.

- Ale czy to dobrze dla naszego kota? Czy Kłębek nic mu nie zrobi?

Will zastanowił się, czy rodzaj męski, którego użyła Bess w stosunku do kota, nie skomplikuje nieco przyszłości, ale po chwili odsunął od siebie tę wątpliwość.

- Raczej odwrotnie - zauważył. - Kłębek chciał być miły i przyjacielski, a w odpowiedzi napotkał wyciągnięte pazury i usłyszał groźne pofukiwania. Szybko nauczył się respektu dla twego kota.

Bess roześmiała się i przykucnęła przy swoim pupilku.

- Czyżbyś był złym kotem, Elek? - Pogłaskała go po głowie, a wtedy on, ku jej wielkiemu zadowoleniu, otarł się pyszczkiem o wypielegnowaną dłoń. Wyglądało to tak, jak gdyby udzielił wymijającej odpowiedzi na zadane przed chwilą pytanie.

- Czy kiedy byłaś mała, miałaś koty? - zapytał Will.

- Nie miałam żadnych zwierząt - odparła. - Ojciec miał alergię na sierść, no a potem to nie było możliwe, wiesz dlaczego.

- A czy teraz masz jakieś?

- Nie, tam gdzie mieszkam, jest to zabronione.

Powiedziała to tym samym wypranym z emocji tonem, jakim udzieliła mu informacji na temat swojego dzieciństwa, jednak tym razem delikatny uśmiech i pieszczotliwe ruchy palców zdradziły skrywane głęboko uczucia. Ta kobieta łaknęła bliskości i ciepła, było to widać gołym okiem.

Kłębek zajął swoje ulubione miejsce przy stole, a wtedy Bess kątem oka zauważyła zwisający z oparcia krzesła sweter.

- O, mój sweter - zdziwiła się niezbyt mądrze. - Miałam cię o niego zapytać.

- Zostawiłaś go w gabinecie. - Nie powiedział jej, że od tego czasu sweter został wyprany i spędził dwa dni w jego szafce. Zastanawiał się

nawet, czy nie zatrzymać go sobie na dłużej, ale ponieważ miał w zanadrzu jeszcze kilka pretekstów, pod którymi mógł ją tu zwabić, postanowił oddać Bess tę część garderoby. W ten sposób mógł przynajmniej częściowo uspokoić swoje sumienie

- Dzięki, że pamiętałeś. - W zamyśleniu ponownie popatrzyła na sweter. Wisiał na oparciu tego krzesła, na którym siedziała wczoraj podczas lunchu. Przypadek? Na pewno. Przecież po jednym spotkaniu Will nie mógł uznać tego krzesła za „jej” mebel.

Will kiwnięciem głowy skwitował jej podziękowania i zapytał, wskazując na dwa wiadra rajskich jabłuszek:

- I co teraz z nimi robimy?

- Umyjemy, pokroimy i ugotujemy - odparła i podeszła do zlewu. Zakorkowała go, wsypała wiadro jabłek i odkręciła wodę. Rozejrzała się za fartuchem. No tak, była w sklepie i zapomniała go kupić.

- Proszę. - Will podał jej jakiś podkoszulek, który wyjął zapewne z suszarki w pomieszczeniu gospodarczym. - Chyba nie chcesz zniszczyć takiej ładnej sukienki - dodał łagodnie.

- Nie... Nie chcę. Dziękuję. - Wzięła podkoszulek i z niepewnym uśmiechem szybko wciągnęła go przez głowę

Uśmiecha się, pomyślał Will, ale w tym uśmiechu kryje się wyraźne onieśmienie. Wysyła sprzeczne sygnały, więc on, Will, musi nauczyć się je odczytywać. Sygnały, które potwierdzają to, co podejrzewał jeszcze przed incydem z drabiną - Bess się boi własnych, nowych dla siebie reakcji.

Nie drażniła się z nim - pragnęła tego pocałunku równie mocno, jak on. Zanim uciekła, widział przecież w jej oczach pożądanie. Nie wątpił w to, że Bess Hilliard jest rozsądna i opanowana w sytuacjach zawodowych,

jednak w kontaktach osobistych nie czuje się zbyt pewnie. Było to jak wyłom w tym szczelnym murze, jakim się otoczyła, by sprostać trudom życia, i ta nieoczekiwana bezbronność sprawiła, że jego serce wezbrało ku niej czułością.

Usiedli przy stole i zaczęli obierać owoce, a Bess bez zastanowienia wybrała krzesło, na którym siedziała wczoraj. Podczas pracy rozmowa toczyła się wartko i bez zakłóceń, jak gdyby to, co stało się na drabinie, w ogóle się nie wydarzyło.

Will zapytał ją o Keeley i Abby, czym ją kompletnie zaskoczył. Nie sądziła, że będzie pamiętał imiona jej koleżanek. Ona z kolei zapytała go o dom i dowiedziała się, że kupił go od emerytowanego farmera, który sprzedał ziemię i wyemigrował na Florydę. Zanim zdążyli się zorientować, wszystkie jabłka wylądowały w dwóch największych garnkach.

- Jak długo mają się gotować? - zapytał Will i zmniejszył nieco ogień.

- Dwadzieścia minut powinno wystarczyć.

Przeznaczył te dwadzieścia minut na pokazanie jej tego, co tak bardzo chciała zobaczyć, czyli reszty gospodarstwa. Łazienki zostały odnowione i zmodernizowane, ale inne pomieszczenia już nie, z czego Bess była bardzo zadowolona. Stare drewniane podłogi zapewniały podobne wrażenie stabilności, co wewnątrz banku w East Ridley. Czuło się, że ten dom dał schronienie już niejednemu pokoleniu mieszkańców i z pewnością da jeszcze kilku.

Mogłaby tu mieszkać całkiem spora rodzina, myślała, otwierając kolejne drzwi. Chociaż połowę parteru zajmowała klinika weterynaryjna, nadal pozostawało kilka pokoi plus piwnica oraz całe pierwsze piętro. Naprawdę szkoda było tak wielkiej przestrzeni na jedną osobę. Na górze

umeblowane były tylko dwa pokoje, sypialnia Willa i pokój gościnny, więc Bess zaczęła w myślach urządzać całą resztę. Zastanawiała się, czy którykolwiek z właścicieli wpadł na pomysł, że mały pokój narożny doskonale nadawałby się na pracownię krawiecką.

Will widział, że podoba jej się ten dom. Obejrzała pokój gościnny i jego sypialnię - gdzie od wczoraj leżała czysta pościel - ale najbardziej interesowały ją puste pokoje, zupełnie jakby potrafiła dostrzec w nich to, czego on nie widział.

Gdy wrócili do kuchni, posadziła go do przecierania jabłek, sama natomiast wydobyła z torby igłę, nitkę i zakupiony dzisiaj materiał, po czym szybko uszyła dwa woreczki wielkości jaśków. Włożyli przetarte jabłuszka do woreczków, a Bess powiesiła je na hakach, znajdujących się nad zlewami w pomieszczeniu gospodarczym. Will pomyślał, że zauważył te haki wiele miesięcy po sprowadzeniu się tutaj. To, że ona dostrzegła je od razu, utwierdziło go w przekonaniu, że dom naprawdę jej się podoba i Bess czuje się w nim dobrze.

- Czy mam coś z nimi zrobić, czy będą tak wisieć do jutra? - zapytał, patrząc na sok ściekający do misek, które Bess ustawiła w zlewie.

- Nic nie rób. Będą gotowe, kiedy jutro przyjadę. Po kolacji - dodała szybko, żeby Will nie pomyślał sobie, że liczy na kolejny darmowy posiłek. Wciąż obawiała się, że ten szczodry i hojny mężczyzna obdarza ją tym samym uczuciem, którym obdarza biedne bezpańskie zwierzęta.

Jak zawsze odprowadził ją do samochodu, chociaż w ich przypadku „zawsze” oznaczało zaledwie trzy razy.

- Widziałam, że masz mnóstwo cukru, więc jutro przyniosę tylko słoiki na galaretkę i parafinę. - Dzisiaj jeszcze bardziej niż zwykle

odczuwała niewytłumaczalny żal związany z tym, że musi opuścić ten dom. - To będzie wszystko.

- Prawie - pokiwał głową i zrobił krok w jej stronę.

Bess poczuła niepokojące mrowienie. Wiedziała, co się zaraz stanie. Odczytała to z jego oczu. Chciała uciec, ale nie mogła się ruszyć. Will objął ją mocno. Było już za późno na ucieczkę. I całe szczęście.

Pocałunek był mocny, długi, oszałamiający. Jego usta nie prosiły, po prostu same wzięły to, czego pragnęły najbardziej. Bess najpierw znieruchomiała, potem ogarnęła ją nagła fala palącego jak ogień ciepła, kiedy zaś minął pierwszy szok, westchnęła cicho i rozchyliła wargi. Oboje byli zaskoczeni tym, jak słodki jest ten pocałunek. Słodszy niż się spodziewali, słodszy niż kiedykolwiek mogliby przypuszczać.

Dłoń Willa powędrowała do jej karku, palce wsunęły się we włosy. Bess ponownie westchnęła i zacisnęła kurczowo ręce na jego plecach.

Kiedy ją w końcu uwolnił, popatrzył z satysfakcją, jak bezwładnie opada na swoje siedzenie. Uniósł dłoń i pomachał na pożegnanie.

- Do zobaczenia jutro.

WTOREK

Bess była zachwycona, oszołomiona, szczęśliwa... Nikt nigdy nie całował jej w ten sposób. Naprawdę nikt! Podobne uniesienie czuła po raz pierwszy w życiu, choć niełatwo jej przyszło przyznać się do tego przed sobą.

Dlatego też następnego dnia pędziła do Willa jak na skrzydłach, stęskniona jego widoku, głosu, pełna nadziei na...

No właśnie - na co?

- Wyciskamy worki? - zapytał, gdy przyjechała, przywitała się z nim, a potem przeszła do spiżarni, by sprawdzić, ile soku zdążyło się zebrać w podłożonych pod woreczki miskach.

- Nie! To może zaszkodzić galaretce!

Tak naprawdę wyciskanie wcale nie musiało jej zaszkodzić. Odcisnięty sok nie odznaczał się może taką klarownością, jak ten, który skapywał powoli pod własnym ciężarem, ale pozostawianie nie wyciśniętych worków byłoby zwykłym marnotrawstwem i głupotą. Tak samo jak głupotą, całkiem niepodobną do Bess, był zakup ozdobnych słoików do galaretki, skoro wystarczyłyby zwykłe, znacznie tańsze weki.

No tak, ale nie idealnie przejrzysta galaretka w zwykłych słoikach, choć smakowałyby tak samo, jak całkiem przejrzysta, nie byłaby doskonała. A Bess pragnęła właśnie tego, aby galaretka zrobiona przez nią dla Willa była doskonała. Nie bardzo wiedziała, dlaczego. Po prostu czuła, że tak musi być, i zdrowy rozsądek nie miał tu nic do rzeczy. Zresztą gdyby liczyła na swój zdrowy rozsądek, w ogóle by się tutaj nie znalazła.

- Ile potrzebujemy cukru? - usłyszała.

- Sześć kilo.

Starannie odmierzył cukier, a ona dodała go do soku. Zawartość garnka zaczęła wrzeć, więc Bess zamieszała ją energicznie.

Will patrzył na Bess i zastanawiał się, czy dobrze zrobił, całując ją wczoraj na pożegnanie. Może uznała, że jest zbyt natarczywy? Pewnie miała rację, lecz z pewnością nie postąpiłby tak, gdyby miał nieco więcej czasu, gdyby zjazd absolwentów trwał dłużej niż tydzień - siedem dni, w czasie których chciał...

Rzecz w tym, że do końca nie wiedział, czego właściwie chciał. Rozkochać ją w sobie? Uwieść? Oświadczyć się? Każda z tych myśli zdawała mu się równie niedorzeczna.

Dzisiaj Bess zachowywała się tak, jakby usiłowała dać mu do zrozumienia, że nie zamierza się na niego obrażać za wczorajsze i że zapomniała już o wszystkim.

No właśnie.

O wszystkim? O wszystkim, co zaszło między nimi?

Bo przecież coś jednak zaszło.

Jabłeczna masa w garnku bulgotała powoli, bańki powietrza rozpryskiwały się co jakiś czas, osiadając na brzegach. Jedna z nich prysnęła na dłoń Bess, która trzymała drewnianą łyżkę, a wtedy ona uniosła rękę i zlizła słodkie kropelki. Will poczuł, że robi mu się gorąco na ten widok, powiedział więc, żeby skupić uwagę na czym innym:

- Domyślam się, że robiłyście z mamą mnóstwo takiej galaretki.

- Przetwarzałyśmy i jadłyśmy wszystko, co nie zdołało przed nami uciec - roześmiała się. - W sezonie miałyśmy czarne palce od obierania i drylowania.

Nie wypowiedziała tych słów z goryczą, gdyż nagle odkryła, że nie ma już w niej ani odrobiny goryczy.

Jakimś dziwnym sposobem tu, w obecności Willa, umiała inaczej spojrzeć na siebie, swoją przeszłość i teraźniejszość. Tylko co z przyszłością, zastanawiała się i jakoś nie mogła myśleć o niej z chłodną rezygnacją, jak jeszcze niedawno.

Spojrzała na Willa i uśmiechnęła się do niego. W uśmiechu tym było zaś tyle szczęścia, że jego serce zabiło mocniej, żywiej, z nową nadzieją.

- Skąd ty się właściwie tu wzięłeś? - zapytała go pozornie obojętnym tonem. Widziała, jak Will głaszcze pod stołem łeb Kłębka i ogarniało ją zabawne dość pragnienie, by i jej włosy pogłaskał z taką czułością. - Gdzie mieszkałeś przedtem?

- O, dużo by opowiadać - odparł. - Mój ojciec służył w lotnictwie, zanim przeszedł na emeryturę, żeby pomóc rodzinie w prowadzeniu rancza. Jeździliśmy więc po całych Stanach, a kiedy miałem czternaście lat, przenieśliśmy się na stałe do Nevady.

- Byłeś kowbojem! - roześmiała się z zachwytem Bess.

Wcześniej wielokrotnie zastanawiała się, kogo przypomina jej Will Shedd, teraz nareszcie знаła odpowiedź. Ten mężczyzna wyglądał jak najprawdziwszy kowboj! Kiedy szedł, kołysał się z boku na bok. A gdyby jeszcze włożyć mu na głowę kapelusz, zaś na biodrach zawiesić pas, byłby z niego rewolwerowiec nie gorszy niż John Wayne albo Kirk Douglas.

- Można tak powiedzieć - uśmiechnął się.

- Boże, chyba wszyscy chłopcy, jakich w życiu poznałam, pragnęli kiedyś zostać kowbojami - powiedziała z entuzjazmem, zdejmując z palnika ciężki garnek. A wszystkie dziewczynki chciały mieć takiego kowboja na własność, podszeptał jakiś domyślny głosik w jej głowie.

- Wiem, westerny, konie, preria... Kiedy jednak po raz pierwszy zagania się byka do zagrody, naprawdę może się odechcieć - wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Czy twoja rodzina nadal tam mieszka? - Sięgnęła po łyżkę, a on podał jej słoiki.

- Tak. Każdej jesieni jeżdżę do nich, aby im pomóc.

- A sam nie chciałeś zostać ranczerem?

Potrząsnął przecząco głową i wykrzywił usta w bolesnym grymasie.

- Jedyne, co pociągało mnie w prowadzeniu rancza, była możliwość ujeżdżania zwierząt na rodeo.

Bess znieruchomiała i zapatrzyła się na niego z niedowierzaniem.

- Brałeś udział w rodeo? - zapytała z podziwem.

- Czasami. Przynajmniej miałem z czego zapłacić za studia.

- Ale to niebezpieczne - skarciła go, choć zdawała sobie sprawę, że to idiotyzm robić wyrzuty z powodu czegoś, co miało miejsce dwadzieścia lat wcześniej.

Will wzruszył niebale ramionami, po czym wyjął łyżkę z jej dłoni i dokończył napełnianie słoja.

- Zostało tylko parę zadrapań - powiedział.

Ach, więc ta blizna na brodzie i przestawiony nos to właśnie te „zadrapania”, pomyślała.

- No a dlaczego po rozwodzie trafiłeś właśnie tutaj, a nie osiadłeś gdzieś w Nevadzie? - spytała, rozpuszczając parafinę do uszczelniania słoików.

- Przez kilka lat mój ojciec stacjonował w tej okolicy i zawsze chciałem kiedyś tu wrócić. To właściwie jedyne miejsce, o którym kiedykolwiek myślałem jak o swoim domu.

Bess rozejrzała się po kuchni, popatrzyła na dębowy stół i tandetną tapetę. Will szukał domu i w końcu zdołał go znaleźć właśnie tutaj. Przez chwilę pomyślała o bloku z betonu i plastiku, który ona nazywała domem, i pomyślała, że mimo wszystko Will miał chyba lepszy pomysł na życie niż ona.

Patrząc na znikające za rogiem tylne światła samochodu Willa, Bess westchnęła i uśmiechnęła się do siebie z rozmarzeniem.

Po przyrządzeniu kilkunastu słoików jabłkowej galaretki, pojechali do kina, a teraz Will odwiózł ją właśnie po seansie do akademika, pocałował na dobranoc i odprowadził do wejścia. Do kina pojechali jego wozem. Will zaproponował, by zostawiła swoje auto na parkingu przed collegem, bo nie chciał, aby samotnie prowadziła po nocy.

Cóż, nie pierwszy raz potraktował ją tak, jakby miał do czynienia z kruchą kobietką, a nie z samodzielną bizneswoman, którą w istocie była. W ogóle jej to jednak nie drażniło. Will nie przemawiał bowiem jak szowinistyczny macho, lecz autentycznie się o nią troszczył. Owszem, zupełnie niepotrzebnie, bowiem od lat sama dbała o siebie, jednak ta jego opiekuńczość, drobne uprzejmości, które jej wyświadczał, sprawiały, że czuła się bardziej kobieca i wyjątkowa.

Westchnęła raz jeszcze i weszła po schodach na górę, a potem ruszyła przez korytarz do wspólnego pokoju. Zanim otworzyła drzwi, popatrzyła na swoje dłonie, dotknęła palcami warg. Wciąż czuła na sobie szorstki, a przecież tak delikatny dotyk Willa.

W trakcie seansu ujął ją za rękę i trzymał aż do ostatnich napisów. Trzymanie się za rękę w kinie - czy to nie dziecinne? A jednak wcale takie nie było. Jej dłoń schowana w jego wielkiej dłoni wydawała się całkiem na miejscu. Podobnie naturalny był ich pożegnalny pocałunek.

Kiedy otworzyła drzwi, w pokoju zastała ciemność. Pomyślała, że Abby i Keeley zapewne poszły już spać, jednak po chwili zza okna dobiegły ją ciche nawoływania Keeley. Jeszcze podczas studiów w ciepłe wieczory Bess i Keeley wyciągały materac na schodki przeciwpożarowe, po czym siadały na nim i wpatrywały się w gwiazdy. Abby, która miała lęk wysokości, zawsze zostawała w pokoju, na fotelu ustawionym przy oknie. Dzisiaj było podobnie.

- Piękna noc - zauważyła Keeley, kiedy Bess usiadła obok niej.

- Wspaniała.

Przez chwilę siedziały w milczeniu.

- Podobała mi się twoja mowa, Bess - odezwała się nagle Abby.

Bess uśmiechnęła się do koleżanki. Jej wystąpienie na jednym z seminariów dotyczyło zasad szkolenia przyszłych kandydatów na finansistów, które polegać miało na większej niż dotąd liczbie praktyk, odbywanych w oddziałach banków pod okiem profesjonalistów-praktyków.

- Dziękuję. Twój program ochrony maltretowanych w rodzinach dzieci też zrobił na mnie wrażenie. Kobieta, która siedziała koło mnie, stwierdziła, że ten program powinien dostać rządowe wsparcie. Możesz być z siebie dumna, Abby.

- Och, daleko mi do twoich sukcesów.

- Nieprawda. Ja na razie pomogłam czterem dziewczynom, które i tak były zdolne i zmierzały we właściwym kierunku. Natomiast ty, Abby, odmieniłaś życie wielu dzieci. Moje zasługi są marne w porównaniu z twoimi.

- O rany, dziewczyny, wy przynajmniej macie jakieś zasługi. Ja żadnych - odezwała się Keeley. - Chyba że weźmiemy pod uwagę

prowadzenie nic nie znaczących rozmów z jakimiś nadętymi klientami. Dobry gust do obrazów i rzeźb - to mój jedyny talent. Handluję sztuką, ale sama nic właściwie nie robię. A przecież...

- A czy to mało, Keeley? - przerwała jej ostro Bess. Przywykła już do sposobu, w jaki przyjaciółka uwielbiała pomniejszać znaczenie swojej osoby. Nigdy jednak Keeley nie mówiła o sobie z taką goryczą. - Znasz ludzi z pieniędzmi i potrafisz dostać od nich to, czego potrzebujesz, właśnie dlatego że umiesz prowadzić te nic nie znaczące rozmowy i dobrze się ubierasz. Ty handlujesz, a artyści mogą sobie rzeźbić i malować, bo wiedzą, że ktoś kupi ich prace, a oni będą mieli co jeść. Poza tym sama dobrze wiesz, ile pieniędzy zdobyłaś na fundusz stypendialny Barlett. Abby i ja nigdy byśmy tego nie dokonały. Nie przesadzaj więc, dobrze?

- Tak, Keeley, jeśli to nie jest sukces, to ja naprawdę nie wiem, co nim jest - poparła ją Abby.

Później, leżąc w łóżku, Bess długo rozpamiętywała tę rozmowę. Była ona niczym jakaś grupowa terapia. Kiedyś też dużo rozmawiały, ale inaczej starały się sobie pomóc. „E tam, Abby, nie łam się, pójdziemy na pizzę, chcesz?” - tak mniej więcej się pocieszały. A już to, żeby ona, Bess, wypowiadała się długimi zdaniami, chcąc pokrzepić zgorzkniałe przyjaciółki, zdawało się jej zupełnie niezwykle.

Może stało się tak dlatego, że odnalazła w sobie ostatnio inne, nieznane jej dotąd uczucia, i przez to stała się wrażliwsza na uczucia innych? Bo była wrażliwsza. Poczucie zawodu i życiowego niespełnienia, które przebijało z tych ich wieczornych rozmów, martwiło ją i smuciło. Ale nie martwiła się już tylko o siebie. Odkryła, że te dwie przyjaciółki są dla niej ważniejsze, niż do niedawna mogła sądzić.

Chociaż nie zgadzała się z nimi co do tego, że poniosły życiową klęskę, doskonale mogła je zrozumieć. Przez ostatnie kilka dni wciąż słyszała o mężach i dzieciach. Wszystkie znajome - poza Abby i Keeley - zdawały się mieć albo to, albo to, albo jedno i drugie. Nigdy nie uważała, że mąż i dzieci są niezbędne do szczęścia, ale przecież sama widziała, że one - trzy przyjaciółki z jednego pokoju - nie bardzo wiedziały, czym mogą się pochwalić. Nie miały ani męża, ani dzieci, ani też nikogo bliskiego. Owszem, były takie same, jak piętnaście lat temu - samotne.

ŚRODA

- Już skończyliśmy, prawda?

Will zerknął na potarganą Bess, która z niedowierzaniem wpatrywała się w odartą z tapety ścianę. Przez ostatnie trzy godziny pracowała bez wytchnienia i to dzięki jej pomocy zdołał skończyć tę robotę w ciągu jednego dnia, nie zaś dwóch, jak pierwotnie zaplanował.

Sądził, że pójdą do kina na film, o którym rozmawiali poprzedniego dnia. Wcale nie chciał, żeby wieczór upłynął im na czymś tak okropnym, jak zdzieranie starej tapety. Jednak Bess, która przypomniała sobie dzisiaj rano, że trzeba uszczelnić słoje dodatkową porcją parafiny, przyszła wcześniej, niż oczekiwał - i całe wieki później, niż tego pragnął - i zastała go podczas pracy. Od razu oznajmiła, że zna się na tym jeszcze lepiej niż na robieniu galaretek, po czym porwała do ręki zdzierak i z impetem rzuciła się na „Miłość, która niejedno ma imię”. Will natychmiast się domyślił, że i tę czynność robiły z matką samodzielnie.

- Wiesz co? Chyba jednak będę tęskniła za tymi malunkami - roześmiała się. - Może trzeba było zostawić chociaż kawałek.

- W piwnicy leży jeszcze jedna rolka - powiedział, mile zaskoczony tym, że Bess zachowuje się niczym gospodyni na własnym gospodarstwie. Oczywiście, pewnie nieświadomie, ale jednak. - Jeśli chcesz, możemy na pamiątkę ozdobić nią kilka kafelków - zaproponował.

Roześmiała się i entuzjastycznie pokiwała głową, po czym wyciągnęła rękę, aby zerwać ostatni kawałek starej tapety. Will z przyjemnością przyglądał się jej smukłym udom i zgrabnym łydkom. Miała na sobie jego stare szorty, które choć za szerokie, pasowały na nią doskonale. Ona najwyraźniej uważała, że są za krótkie, bo co rusz obciągała je w dół.

- Co zamierzasz zrobić z tym okienkiem nad zlewem? - spytała, sprząając bałagan, który powstał w czasie pracy.

Will odwrócił wzrok od jej nóg i spojrzał na starą popekaną żaluzję.

- Nie zastanawiałem się nad tym. - Wzruszył ramionami.

- Można by tam powiesić zasłonki - powiedziała i od razu przypomniała sobie materiał, który widziała w sklepie w East Ridley. - No dobra, ta ściana jest gotowa. - Zmięła w dłoni skrawek papieru i rzuciła go na ziemię.

Elektroluks, który zabawiał się właśnie bieganiem za oderwanymi kawałkami tapety, natychmiast go przechwycił i pacnął łapą, tak że papierowa kulka wpadła prosto do ustawionej pod ścianą kuwety.

- Ładny strzał, kolego - pogratulowała mu. - Strzeliłeś gola, wiesz?

- Lubisz hokej? - Will popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- Och, ile ja meczy rozegrałam! - rozpromieniła się. - Ale w hokeja na trawie, jeszcze na uczelni - dodała.

Will uniósł do góry brwi. Ta zdyscyplinowana i chłodna z pozoru profesjonalistka coraz częściej go zaskakiwała. Popatrzył na jej przybrudzoną twarz, potargane włosy i wymięty strój. Tak, zaskakiwała go i miał dziwne przeczucie, że za pięćdziesiąt lat też niejednym wprawi go w zdumienie.

- I co? Byłaś w tym dobra? - zapytał.

- Podczas ostatnich dwóch lat moich studiów Barlett zdobyło mistrzostwo ligi!

- No proszę - uśmiechnął się. - Prawdziwa z ciebie mistrzyni.

- Zastanawiałam się nawet, czy nie przejść na zawodowstwo, ale po co komu pieniądze i uwielbienie tłumów? - Spojrzała na niego poważnie, po czym zachichotała. - Jutro znowu zagram. Będzie coroczny mecz absolwentów Barlett i Smithfield. Pewnie zrównają nas z ziemią.

- O której?

- O ósmej trzydzieści rano - jęknęła, a on pomyślał, że będzie musiał nastawić budzik o pół godziny wcześniej.

Elektroluks wciąż bawił się papierową kulką i niezmordowanie ścigał ją po całej kuchni.

- Jak na kota ze złamaną nogą, jest podejrzanie ożywiony - zauważyła Bess. W jej głosie nie było podejrzliwości, jedynie zdumienie.

- Widocznie nic go nie boli, a ruch dobrze mu tylko zrobi - odparł Will i pogratulował sobie ironicznie, że przynajmniej te dwa stwierdzenia nie były fałszywe. Nadal bał się powiedzieć jej prawdę.

Bess jednak zadowolona chyba to odpowiedź, gdyż znów skoncentrowała się na sprzątanii. Policzki miała zaróżowione, włosy raz po raz spadały jej na czoło i wpadały do oczu. Will coraz mocniej czuł, że

jeśli ta kobieta wyjedzie stąd za kilka dni, jego życie nie będzie już takie jak dawniej.

Niesforny kosmyk znów zasłonił jej oczy. Zniecierpliwiona, wyciągnęła spinkę, po czym zebrała włosy do tyłu, usiłując je spiąć.

- Nie, zostaw rozpuszczone - powiedział nagle, a ona zerknęła na niego i posłusznie opuściła ręce.

Jeszcze przez chwilę usiłowała uczesać włosy palcami, ale w końcu zrezygnowała i znów wzięła się za sprzątanie. Wiedziała, że wygląda okropnie, ale ku własnemu zdumieniu, zupełnie jej to nie przeszkadzało. Zupełnie jakby przy Willu stawała się inną osobą i rezygnowała ze swoich dawnych przyzwyczajzeń.

Will postawił torbę ze śmieciami przy tylnym wyjściu. W radiu przez cały czas nadawano złote przeboje. Najpierw puszczano żywe kawałki rockandrollowe, ale teraz leciały tak zwane „pościelówki”, wolne, nastrojowe piosenki, które tańczył jeszcze w liceum, w ciasnej salce gimnastycznej.

Popatrzył na Bess. Zmiałała właśnie resztki śmieci, nieświadomie kołysząc przy tym biodrami w takt bluesowej wersji przeboju „Czy zatańczysz ze mną?”

Nie mógł się oprzeć temu zaproszeniu.

Wyjął szczotkę z jej dłoni, po czym objął ją mocno i poprowadził do tańca. Bess natychmiast dostosowała się do jego kroku, zupełnie jak gdyby tańczyli ze sobą już setki razy. Oparła głowę na ramieniu Willa, przymknęła oczy. Po chwili westchnęła lekko i przytuliła się do niego, a on przygarnął ją do siebie naturalnym gestem, po czym poszukał ustami jej ust.

Pocałunek był szybki i natarczywy. Ręce Willa powędrowały na jej biodra, długie, silne pacy zacisnęły się na jej ciele. Nie mogła nie poddać się tej sile. Czowała wyraźnie jego pożądanie i po raz pierwszy zrozumiała, jak bardzo jej pragnął. Przerazało ją to, ale przytulała się do niego coraz mocniej, bo nie była w stanie się mu oprzeć.

Teraz szukał już dłonią jej piersi. Pieścił ją delikatnie, masował, a ona drżała pod jego dotykiem. Jęknął głucho i zaczął ściągać z niej swój stary podkoszulek, który założyła, żeby się nie pobrudzić.

- Chodźmy na górę - szepnął.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, Bess zeszywniała, a jej ciałem wstrząsnął kolejny dreszcz. Tym razem jednak nie był to dreszcz pożądania.

Will złapał ją za ramiona i odsunął od siebie, by móc ujrzeć jej twarz, po czym wydusił przez zaciśnięte gardło:

- Co do diabła...?

Nie rozumiał, co się stało. Widział namiętność w jej oczach, wiedział, że pragnęła go równie mocno, jak on pragnął jej.

- Przepraszam - wyszeptała. Znowu miała poczucie, że jest spłoszoną szesnastolatką. - Masz prawo być na mnie wściekły.

- Co się stało, Bess? - zapytał cicho.

Pochyliła głowę, więc ujął ją pod brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała. Wiedział, że musiało ją to sporo kosztować, ale jednak popatrzyła mu prosto w oczy.

- Ja... Ja się nie puszczam, Will - powiedziała dobitnie.

- Wiem o tym, Bess.

Zdał sobie sprawę, że wciąż zaciska dłonie na jej ramionach, i że to z pewnością bardzo ją boli, choć nie wspomniała o tym ani słowem. Może

uznała, że na to zasłużyła, pomyślał i natychmiast zawstydził się tego przypuszczenia. Rozluźnił uścisk i delikatnie pogłaskał jej ramiona.

- Przecież widzę, że ci się podobam. A ty działasz na mnie tak, że nie pamiętam nawet, jak się nazywam.

- Ja też nie pamiętam. - Bess uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Po prostu nie jestem ... - Szukała odpowiedniego słowa, aż w końcu dała za wygraną i bezradnie wzruszyła ramionami.

- Gotowa? - zasugerował. - Pewna?

Pokiwała głową, a on poczuł nagle, jak zalewa go fala czułości.

- W porządku. - Pocałował ją lekko po raz ostatni, a potem odsunął łagodnie od siebie. - Jutro o siódmej to ja przyjadę do ciebie. Pojedziemy na kolację, chcesz?

- Och, nie! - W jej głosie zabrzmiała panika. - Nie...

- Nie bój się - przerwał jej. - Wieczór zakończy się, gdzie będziesz chciała i kiedy będziesz chciała.

Popatrzyła mu w oczy i zrozumiała, że Will mówi prawdę.

- Dobrze. Będę czekać.

Bess po raz kolejny przewróciła się z boku na bok. Leżała w ciemnym pokoju, w którym umilkły właśnie cowieczorne pogaduszki trzech przyjaciółek. Choć w tym akurat przypadku „pogaduszki” to było zbyt lekkie słowo. Dzisiaj odbyły raczej zbiorową spowiedź, a nie codzienny seans plotek i przekomarzań. Tyle się dowiedziała o swoich przyjaciółkach, tak bardzo wstrząsnęły nią ich wyznania. Chyba rzeczywiście przyjechały tu na grupową terapię.

Keeley, która zawsze utrzymywała, że jej życie jest wspaniałe, opowiedziała o swoim nieszczęściu. Po studiach wyjechała do Paryża,

miała wypadek, wycięto jej macicę. Straciła na zawsze zdolność rodzenia dzieci i miłość Dominika, a jej małżeństwo było tylko farsą. Teraz zaś nie miała pojęcia, co począć wobec kolejnego spotkania Dominika na drodze swego życia.

Abby tłumaczyła, dlaczego nie mogła uwierzyć w bezinteresowną miłość i dlaczego przez całe życie wszystkich we wszystkim wyręczała. Paniczny strach przed odrzuceniem, niepewność własnej atrakcyjności, brak wiary w siebie i w przyjaźń innych - to były grzechy, które im wyznała. Nie omieszkały oczywiście powiedzieć, jak drażnił je ten jej altruizm bez granic i jak bardzo marzą, by Abby pomyślała wreszcie o własnym szczęściu.

Tylko ona, Bess, nie brała udziału w tych zwierzeniach. Owszem, odzywała się, komentowała, dawała rady i starała się podnieść przyjaciółki na duchu, ale tak naprawdę była najmniej aktywnym uczestnikiem tej szczególnej przyjacielskiej terapii.

Cóż, historia lubi się powtarzać. Przecież tak było zawsze.

I być może tak właśnie musiało być, pomyślała Bess i ponownie przekręciła się na bok.

Nagle dobiegł ją swąd spalenizny. Westchnęła z irytacją, po czym wysliznęła się z łóżka i ruszyła w kierunku półki, na której leżała jej lokówka. Jak mogła o tym zapomnieć? To byłby pamiętny zjazd, gdyby stara lokówka przegrzała się, podpaliła tapetę i cały budynek poszedłby z dymem.

- Bess, co ty wyprawiasz? - odezwała się Keeley.
- Wyłączam lokówkę. Zapomniałam o niej.
- Gdybyś kupiła sobie nową, z automatycznym wyłącznikiem, nie musiałabyś się tym przejmować - odezwała się zirytowanym głosem Abby.

- Kupię, kupię. Kiedy ta się zużyje - obiecała Bess i ruszyła w stronę łóżka.

- To cholerstwo zużyło się już dawno temu - stwierdziła kwaśno Keeley. - Naprawdę nie musisz nam już niczego udowadniać. Wiemy, jaka byłaś biedna, jak daleko zaszłaś i jak nie przewróciło ci się w głowie od twojego bogactwa. Zawsze skromna, praktyczna i oszczędna Bess Hilliard. Nie musisz się z tym tak obnosić.

Zaskoczona tym gwałtownym atakiem, Bess nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Tak - Abby stanęła po stronie Keeley - ty zawsze uważałaś, że jesteś od nas lepsza, Bess. Musiałaś ciężko zapracować na swoją naukę, a my nie. Powiem ci teraz, że wiedziałyśmy, jak ciężko pracujesz, i podziwiałymy cię za to. Chciałyśmy ci pomóc, ale ty za każdym razem zatrząskiwałaś nam drzwi przed nosem. No i tak jak chciałaś, osiągnęłaś sukces, w którym nikt ci nie pomógł, a już na pewno nie my. Więc skoro jesteś już bogata, to może wyrzuciłabyś wreszcie tę cholerną lokówkę i kupiła sobie nową!

Bess otworzyła usta, aby przystąpić do kontrataku - ale nie mogła nic powiedzieć. Cisza przeciągała się niezręcznie. W pewnej chwili Keeley chrząknęła niepewnie, jakby miała zamiar za chwilę ją przeprosić, jednak Bess ją ubiegła.

- Macie rację - powiedziała cicho. Trzymała swoją lokówkę naprawdę tylko dlatego, że wciąż jeszcze działała, ale wszystko inne, o co oskarżały ją przyjaciółki, było niestety prawdą. - Rzeczywiście zatrząskiwałam wam drzwi przed nosem. Byłam pewna, że żałujecie mnie z powodu mojej biedy i że litujecie się nade mną... bo ja sama litowałam się nad sobą. Wyobrażałam sobie, że za moimi plecami wszyscy mówią

„biedna, biedna Bess”, a w rzeczywistości tylko ja tak mówiłam. Tak, byłam zazdrosna, ponieważ musiałam ciężko pracować, a wy nie, masz rację, Abby. Zazdrościłam ci na przykład twojej wielkiej rodziny. A tobie, Keeley, forsy i pięknych ciuchów. - Zamknęła oczy, choć i tak było ciemno, i mówiła dalej: - Uwielbiałam wygrywać z tobą w tenisa, bo to dowodziło, że nie możesz mieć wszystkiego. Kurczę, ja zazdrościłam wam nawet waszych złamanych serc, nieudanych randek i łez wylewanych w poduszkę! Sama byłam zbyt tchórzliwa, aby zaryzykować coś podobnego. Tylko jednej rzeczy nie mogłam wam zazdrościć, bo wy też jej nie miałyście...

Przerwała na chwilę, po czym beznamiętnym tonem mówiła dalej:

- Powiedziałaś nam dzisiaj, Keeley, o swoim wypadku, o histeroktomii, o tym, że jesteś bezpłodna... Że żałujesz tego, iż nigdy się nie dowiesz, jak okropne są poranne mdłości - zawahała się. - Wiesz, że wcale nie są takie straszne? Moje nie były.

Przyjaciółki wstrzymały oddech, słyszała to wyraźnie. Uśmiechnęła się do siebie smutno, po czym mówiła dalej:

- Trwały tylko przez jakiś miesiąc. Spędzałam rano w łazience kilka sekund więcej niż zwykle, ale to było wszystko. Ten mężczyzna... w ogóle się nie liczył. Nasz romans skończył się, zanim odkryłam, że jestem w ciąży. Zamierzałam powiedzieć mu o dziecku dopiero po porodzie. Miał prawo wiedzieć, ale ja niczego od niego nie chciałam. To było kompletne zaskoczenie, bo nie planowałam macierzyństwa. Nigdy nie chciałam mieć dzieci... albo uważałam, że ich nie chcę. Nagle jednak zapragnęłam tego bardzo. Na początku nikomu o niczym nie mówiłam, zwłaszcza w banku. Nie wiedziałam, jak zareaguje zarząd, ale szczerze mówiąc, nie bardzo się

tym przejmowałam. Miałam oszczędności, po porodzie zawsze mogłam poszukać innej pracy.

- W końcu jednak musiałaś im powiedzieć.

- Tak. Byłam już w piątym miesiącu, ubrania przestały na mnie pasować. Byli bardzo pomocni. Wiedziałam, że nie dostanę w najbliższym czasie awansu, ale mnie to nie obchodziło. W weekend po tej rozmowie wybrałam się na zakupy po nowe ubrania... - urwała, głos nagle jej się załamał. - Odwiedziłam agencje nieruchomości, bo chciałam kupić większe mieszkanie, a może nawet dom; przyglądałam się pluszowym niedźwiadkom... Jeden wyglądał nawet jak starszy brat Radara i omal go nie kupiłam. Coś mnie widocznie tknęło, bo zdecydowałam się jeszcze poczekać. No a w niedzielę zaczął się krwotok...

Żadna nie odezwała się ani słowem, więc Bess dokończyła:

- Lekarz powiedział, że to była dziewczynka. Straciłam ją dzień przed śmiercią twojej mamy, Abby. Wysłałam ze szpitala w dniu pogrzebu. Następnego dnia oddałam ubrania do sklepu. Pamiętam, jak myślałam, że dobrze się stało, że nie kupiłam tego miśka. Jego też musiałabym zwracać. No i same powiedzcie: czy mam wszystko, czego pragnęłam? Tylko was proszę, nie rozczulajcie się nade mną...

Nie wiedziała, czy to Keeley, czy Abby zapaliła światło. Dość, że wszystkie trzy siedziały teraz na łóżkach i patrzyły na siebie ze łzami w oczach.

- Powinnaś była nam powiedzieć - wyszeptała Keeley, od strony Abby dobiegło zaś tylko rozpaczliwe chlipnięcie.

- Wiem.

Teraz rzeczywiście to wiedziała. Wszystkie w jednym były do siebie podobne: głupia duma - a może strach przed tym, że zostaną uznane za

bezbronnie i pokrzywdzone przez los - nie pozwalała żadnej z nich poprosić o wsparcie. Może teraz, już starsze, bardziej docenią to, co łączyło je w młodości - szczerą, wierną i bezinteresowną przyjaźń?

Nie pamiętała, która z nich poruszyła się pierwsza, ale nagle wszystkie trzy klęczały na środku pokoju i obejmowały się mocno.

- Wiecie co, trzej muszkietierowie? Wyglądamy żałośnie - stwierdziła Bess, kiedy w końcu oderwały się od siebie i popatrzyły w swoje zapuchnięte oczy.

Keeley sięgnęła po paczkę chusteczek i podzieliła się z koleżankami.

- Chyba tak - zgodziła się i wydmuchała nos. Uśmiechnęły się do siebie, bo tak naprawdę miały to gdzieś.

CZWARTEK

Will stał na skraju boiska i przyglądał się dwudziestu dwóm kobietom grającym w hokeja na trawie. Drużyna Smithfield rozpoczęła atak, a Bess pochyliła się w skupieniu nad kijem, obciągając odruchowo spodenki. Will uśmiechnął się na widok tego znajomego gestu. Miała na sobie te same szorty, które pożyczył jej ubiegłego wieczora. Chyba były dla niej szczęśliwe, bo grała naprawdę świetnie. Jako najbardziej aktywna zawodniczka Barlett była przez rywalki nieustannie faulowana, a on po każdym faulu głośno protestował, aż sędzia musiał zwrócić mu uwagę, by odszedł od linii bocznej.

Odszedł, ale i tak po chwili wrócił.

Gra zakończyła się mniej więcej dwadzieścia minut później.

Widzowie wstali z miejsc i zaczęli głośno klaskać, Will również. Odwrócił

się w stronę trybun i uśmiechnął do dwóch kobiet, które gapiły się na niego przez cały mecz. Obie panie niepewnie odwzajemniły uśmiech, po czym ruszyły w jego kierunku.

- Pan nazywa się Will Shedd, prawda? - Niższa, jasnowłosa mówiła z charakterystycznym południowym akcentem. - Jestem Abby Granger, przyjaciółka Bess Hilliard.

Wymienił uścisk dłoni z Abby, a potem z rudowłosą, która zapewne była Keeley.

- Miło mi pana poznać - powiedziała. - Eileen Rhoden opowiadała nam o pana klinice.

Ten komentarz zainicjował serię subtelnych i dociekliwych pytań, które zrobiłyby wrażenie nawet na specjalście od przesłuchań. Do czasu, gdy przegrani pogratulowali zwycięzcom i zaczęli się rozchodzić, Abby i Keeley wiedziały już, że Will jest kawalerem, że nie ma dzieci, płaci podatki i jest ogólnie szanowanym i uczciwym obywatelem.

Will z powagą odpowiadał na ich pytania. Doceniał fakt, że chciały się upewnić, z kim tak naprawdę spotyka się ich przyjaciółka.

Gdy wreszcie obie uznały, że Will nie jest seryjnym mordercą, oszustem matrymonialnym ani kapłanem czarnej magii, złożyły gratulacje Bess, która zdążyła się przez ten czas przebrać i pojawić obok nich, po czym dyskretnie zniknęły.

- Przegrałyście - zauważył i objął ją ramieniem.

- To z powodu sprzętu - uśmiechnęła się i opasała go ręką w tali.

Ruszyli w stronę wyjścia, lecz zanim wyszli z boiska na ulicę, podeszła do nich postawna, rudowłosa kobieta z jeszcze większym mężczyzną. Zanim Will zdążył się zorientować, Bess utonęła w serdecznym uścisku olbrzymki.

- Will - powiedziała bez tchu, gdy zdołała uwolnić się z objęć. - To Louise Detwiler. A to jej mąż, Charles. Louise, Charles, poznajcie Willa Shedda.

Detwilerowie z uśmiechem uścisnęli dłoń Willa.

- Świetny mecz, Bess! - wykrzyknęła entuzjastycznie Louise. - Ciągłe jesteś wspaniałą dryblerką. Szkoda, że moje dziewczyny nie oglądały cię w akcji.

- Louise jest trenerką hokeja na trawie i koszykówki w żeńskim college'u w Wirginii - wyjaśniła Willowi Bess. - A Charles uczy futbolu w pobliskiej szkole dla chłopców. Jestem pewna - Bess uśmiechnęła się do kobiety - że twoja drużyna umie już wszystko. Zawsze byłeś fantastycznym graczem.

- To już przeszłość, Bess. - Louise pokręciła głową. - Moje kolana odmówiły posłuszeństwa.

Pożegnali się z Detwilerami, lecz po chwili obok Bess pojawiła się kolejna dawna koleżanka i znów nastąpiła ceremonia powitań i prezentacji. Kiedy wreszcie zostali sami, Bess spojrzała na Willa i powiedziała z nieśmiałym uśmiechem:

- Nie sądziłam, że przyjdiesz... - Rzeczywiście, po tym, co zdarzyło się wczoraj, nie mogłaby mieć pretensji, gdyby spotkał się z nią jedynie na umówionej wczoraj kolacji - po to tylko, żeby wyjaśnić sobie, że zaszło nieporozumienie i że nie zobaczą się już więcej.

Jednak Will zdawał się mieć dobry humor. Popatrzył na nią i odparł wesoło:

- Zawsze fascynowały mnie wspaniałe dryblerki.

Po południu przyjechał po nią o umówionej porze, pocałował na powitanie w policzek, po czym poprowadził do swego samochodu. Nie ujechali pół kilometra, kiedy na desce rozdzielczej jego starego „Broncozaurusa” zadzwonił przenośny telefon.

- Jakiś kłopot? - zapytała cicho, kiedy po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę z kwaśną miną.

- Owszem, Maybelle znowu utknęła gdzieś w bagnie.

- Maybelle?

- Ukochana jałówka niejakiej Mildred Aldhizer - wyjaśnił. - Mildred ciągle zapomina zamknąć drzwi od obory, a wtedy Maybelle zwiewa prosto na moczary. Uwielbia jeść listki olszyny, kapujesz? No i teraz tkwi właśnie po brzuch w błocie, a weterynarz, który ma dyżur, pojechał do innego wezwania. Mildred szaleje.

- To może uratujmy Maybelle - zauważyła rozsądnie Bess.

- Jesteś pewna? - Popatrzył na nią z powątpiewaniem. - Ostatecznie krowa może poczekać. Stracimy rezerwację.

- Krowa tak, ale Mildred pewnie nie - uśmiechnęła się. - Jedźmy.

Rzeczywiście stracili rezerwację w eleganckiej restauracji na szczycie pobliskiego wzgórza, a na dodatek nie mniej elegancka sukienka Bess nigdy już nie miała powrócić do dawnej świetności.

Ocalili za to Maybelle, no i panią Mildred.

- Właż pod prysznic i stój tam, dopóki się nie rozgrzejesz - przykazał surowo Will, kładąc na szafce w łazience czyste ręczniki oraz szlafrok, w którym bez trudu mogłaby utonąć.

- Dobrze. - Bess starała się ukryć pociągnięcie nosem i zachować powagę, ale nie do końca jej się to udało.

- Co cię tak strasznie śmieszy? - zapytał z irytacją, gdy zobaczył, jak tłumie śmiech.

- Will? Czy przejrzałeś się w lustrze?

Will cały pokryty był bagiennym szlamem i dość osobliwie pachniał. Jego przylepione do czaszki włosy ociekały wodą, bo kiedy wyciągali jałówkę z bagna (przy pomocy samochodowej wyciągarki, jakżeby inaczej), lunął nagle deszcz.

- A ty? - zareplikował.

- Nie, ale nie mogę wyglądać gorzej niż ty.

Bez słowa zamknął drzwi łazienki, aby mogła się przejrzeć w przymocowanym do nich od wewnątrz lustrze.

A jednak można było wyglądać gorzej niż Will. Peleryna i kalosze nie ochroniły jej lepiej niż jego. Jedwabna suknia przypominała obecnie ścierkę i oblepiona była czymś, czemu Bess wolała się nie przyglądać. Włosy również ociekały wodą, ale ponieważ były dłuższe, ociekały znacznie obficiej. Skapującą z nich ciecz (bo może to wcale nie była woda) miała podejrzany kolor.

- Rany boskie - jęknęła do siebie cicho.

Will wszedł znowu do środka i odkręcił prysznic. Popatrzył na nią znacząco, po czym wyszedł bez słowa.

Kiedy pół godziny później Bess ponownie spojrzała w lustro, musiała obiektywnie stwierdzić, że jej wygląd znacznie się polepszył. Była czysta, ładnie pachniała, a szlafrok, choć o wiele za duży, miał miły zielony odcień. Jej włosy, wciąż jeszcze nieco sztywnawe, wyschły już i powoli odzyskiwały zwykły kolor.

Podwinęła rękawy szlafroka i zeszła na dół do kuchni. Will, bosy, ale już w czystych dżinsach i podkoszulku, przeszukiwał właśnie lodówkę,

mamrocząc coś pod nosem. Kudłacz i Kłębek leżeli pod stołem, zaś Elektroluks zajął jej krzesło.

- Jedyne, co możemy zjeść na kolację, to kanapki z masłem orzechowym i galaretką oraz drobiowa zupka z proszku. - Zerknął na przymocowany do ściany telefon. - Chyba że zamówimy pizzę.

- Z „Mario”? Nie. Zupa i kanapki wystarczą.

Will włożył chleb do tosterka i przekręcił gałkę do końca. Po chwili ze środka zaczął wydobywać się dym.

- Tosty po kreolsku - zażartowała Bess.

Roześmiał się z przymusem, zaklął cicho i przykręcił gałkę. Był naprawdę wściekły. Ubrudziła się, zniszczyła drogą sukienkę, prawdopodobnie złapała obustronne zapalenie płuc, a teraz musiała obejść się galaretką w miejsce wytwornej kolacji. Aż dziw, że nie straciła poczucia humoru, a nawet zdawała się szczęśliwsza niż wcześniej.

- Nie to zaplanowałem na dzisiejszy wieczór - westchnął, siadając do stołu.

- A co zaplanowałeś? - zapytała Bess, rozlewając błyskawiczną zupę do miseczek.

- Wytworne dania, szlachetne wina, świece, łagodną muzykę, może jakieś tańce...

Jego tak wyraźny żal z powodu zmarnowanego wieczoru wzruszył ją. Zrozumiała, że musi być dla niego kimś bardzo ważnym, skoro czuł się aż tak przejęty, a potem zirytowany.

- Romantyczna kolacja przy świecach?

- Mhm.

Skryła uśmiech za szklanką mleka, po czym wzięła niewielki łyk, podniosła oczy do sufitu i zrobiła mądrą minę.

- Hm... Mleko, chyba obecny rocznik, dokładnie... chyba z wtorku, jak sądzę. Cudowny bukiet. Ma posmak koniczyny, można też wyczuć lucernę. Smak lekki i uniwersalny, pasuje do wszystkich potraw... - Odstawiła mleko i spróbowała zupy. - Mmm... też niezłe. Może nie takie wykwintne, jak bulion w „Grandview”, ale równie smaczne.

Will zrozumiał, co chciała mu powiedzieć. Wcale nie marzyła o eleganckiej kolacji. Błoto, szlam, masło orzechowe i jabłkowa galaretka były lepsze od wytwornego posiłku z innym mężczyzną. Gdyby już wcześniej się w niej nie zakochał, stałoby się to właśnie w tej chwili.

Podniósł szklanę i upił duży łyk, aby zamaskować nagły dreszcz, który nim wstrząsnął. Tak, on, czterdziestoparolatek, zakochał się w Bess Hilliard i po raz pierwszy sam przed sobą przyznał się do tego uczucia.

To oczywiście nadal nie miało sensu, wydawało się wręcz niemożliwe, zbyt szalone, zbyt nagłe, ale dłużej już w to nie wątpił. Zakochał się w bystrej, wesołej, czulej, upartej, irytującej, twardej, delikatnej, jednym słowem - trudnej kobiecie. Patrzył, jak dyskretnie karmi kota makaronem z zupy, i myślał, że przecież nie miał wyjścia. To musiało się w końcu stać.

- A co powiesz o maśle orzechowym? - zapytał.

- Na swoim normalnym poziomie - odparła. - Za to galaretka jest zachwycająca. - Ugryzła ostatni kęs kanapki i uśmiechnęła się do niego, po czym podniosła palec, aby zlizać z niego resztkę galaretki.

Will złapał szybko jej dłoń i ustami dotknął słodkiego palca.

- Zostało tu jeszcze trochę - wyjaśnił niewinnie i popatrzył jej prosto w oczy, które nagle zaszły mgłą i stały się jakby bardziej lśniące.

Bess poczuła głód, którego nie były w stanie zaspokoić ani tosty, ani zupa. Will pociągnął ją lekko za rękę, a wtedy wstała posłusznie, by po chwili znaleźć się w jego ramionach.

- Mmm... - mruknął rozkosznie po pierwszym pocałunku. - Miałaś rację, że galaretka jest wyborna. A co z muzyką, tańcami i światłem świec?

Staromodna lampka na komódce była jedynym źródłem światła w jego sypialni. Ciemne drewno łóżka lśniło ciepłym blaskiem w miękkiej poświacie, ożywczy wietrzyk, dochodzący z otwartego okna, poruszał lekko firankami. Bess stała nieruchomo i patrzyła Willowi prosto w oczy.

- Chcę się z tobą kochać, Bess - oznajmił łagodnie i położył dłonie na jej ramionach.

Pokiwiała wolno głową, świadoma tego, że teraz nie może uciec, nie może się wycofać. Całe życie czekała na wybuch namiętności, płomień, który wybuchnie i ogarnie ją całą. Może nie czuła się jeszcze doprowadzona przez Willa do szaleństwa, ale przecież pragnęła go mocno, pragnęła utonąć w jego silnych ramionach i zapomnieć o swoich lękach.

Nie pozwalała sobie wcześniej na miłość, bo chciała się czuć bezpieczna. I oto tutaj, podczas wakacji w East Ridley, ten niezwykle mężczyzna pokazał jej, czego się wyrzekła. Obudził w niej uczucia, o które się nigdy nie podejrzewała, i już wcale nie pragnęła bezpieczeństwa. Nie wiedziała, dokąd zaprowadzi ich ta decyzja i czy mają szansę na przyszłość, ale czuła, że jeśli nie podaruje sobie tej nocy, będzie tego żałować przez resztę swego życia.

Will rozwiązał pasek jej szlafroka. Jego oczy pieściły nagie ciało Bess, częściowo oświetlone blaskiem lampy, częściowo zaś skryte w cieniu. Zdjął z siebie podkoszulek i zamknął ją w mocnym uścisku.

Westchnął, jakby po długiej wędrówce znalazł się wreszcie w domu, a potem zsunął szlafrok z jej ramion i zaczął błdzić ustami po jej wrażliwym teraz na każde muśnięcie ciele.

Był prawdziwym mistrzem pieszczot i pocałunków i Bess ogarnął niepokój, czy i ona okaże się równie zręczną kochanką. Jednak zachwyty w jego oczach powiedział jej, że Will niczego od niej nie oczekuje i że wystarczy mu to, że mogą być razem tak blisko. Gdy zaś to pojęła, nieoczekiwanie mogła mu dać znacznie więcej niż sądziła.

- Masz takie delikatne ciało - szeptał szczęśliwy, a ona całowała jego tors, ramiona, szyję. Zadrżał i łagodnie popchnął ją na łóżko.

Bess poczuła na plecach chłód prześcieradła, zaś chwilę później jego gorące, silne ciało ułożyło się obok niej. Will był teraz niczym wędrowiec, odkrywający w pięknej, egzotycznej krainie coraz to nowe wspaniałości. Jej zapach go oszalał, miał wrażenie, że tonie, zapada się w jakąś rozkoszną, nieogarnioną przestrzeń. Kiedy położył się na niej, a ona rozluźniła uda, gotowa by go przyjąć, jego szczęście nie miało granic. Była teraz taka słodka, taka naturalna, taka ufna...

Jeszcze tylko raz zeszywniała i spięła się, gdy w nią wchodził, ale chwilę później westchnęła błogo i oplótła go ciasno nogami. Teraz już nic nie mogło zagrozić im drogi do szczęścia.

Bess czuła go w sobie, czuła, jak się porusza, zrazu powoli, potem szybciej, pewniej i coraz żarliwiej. Odchyliła głowę do tyłu i zatraciła się całkowicie w tym miłosnym tańcu. Było jej tak dobrze, że nie mogła mówić ani myśleć. Patrzyła tylko na wykrzywioną cudownym grymasem twarz Willa i pędziła wraz z nim ku ostatecznemu spełnieniu.

Rozkosz zalała jej ciało w tej samej chwili, w której on na moment uniósł się wyżej, zeszywniał, a potem wydobył z siebie okrzyk radości.

Zaraz potem opadł na nią i oboje osunęli się w bezkresną otchłań nasycenia.

- Wszystko w porządku, Bess - uspokajał ją później jego czuły szept.

- Wszystko w porządku. To szok wywołany powrotem na ziemię. -

Przytulił do siebie jej nagie ciało. - Ja też to czuję.

- Nigdy jeszcze... - urwała na chwilę. - Nigdy jeszcze nie było mi tak wspaniale. - Może mówiła banały, ale na pewno nie kłamała. To, co właśnie przeżyła, było zupełnie nowe, cudowne i... nieco przerażające.

Will odgarnął do tyłu splątane włosy Bess i ucałował jej ramię.

- To pierwszy raz od długiego czasu, prawda?

- Tak - szepnęła ze wstydem.

Czyżby była aż tak niezręczna? Zbyt chętna?

- Cieszę się, Bess. Dla mnie też.

Dobrze ci tak, Carlynn, pomyślała ze złośliwą satysfakcją, która ją samą zaskoczyła. Potem zaś położyła głowę na jego ramieniu, zamknęła oczy i westchnęła z zadowoleniem. Pomyślała jeszcze, że to jest właśnie jej miejsce na świecie, po czym zamknęła oczy i zapadła w głęboki, spokojny sen.

PIĄTEK

W słabym świetle poranka Will przyglądał się leżącej obok kobiecie. Leżała na brzuchu, przykryta do pasa prześcieradłem, z dłonią ukrytą pod poduszką. Na jej ustach błąkał się łagodny uśmiech, włosy miała splecione, twarz lekko zaróżowioną. W niczym nie przypominała sztywnej, zimnej bizneswoman, za jaką wziął ją przy pierwszym spotkaniu.

Pochylił się nad nią i odgarnął niesforne kosmyki z jej policzka, pocałował ją z czułością w odsłonięte ramię. Jak długo dane mu będzie ją zatrzymać? Pragnął, aby została z nim na zawsze. Jeśli Bess się na to nie zgodzi, on, Will, do końca życia będzie z bólem rozpamiętywał wspólnie przeżyte chwile.

Uśmiechnął się gorzko. A jednak podejmie to ryzyko, spróbuje ją zatrzymać, i to jeszcze zanim złoży wizytę Lloydowi Crosby'emu i zapyta go, czy wciąż szuka zdolnego następcy. Zrobiłby zresztą wszystko, byle tylko Bess była już zawsze obok niego. Przecież od początku tego chciał, odkąd po raz pierwszy zjawiała się w jego gabinecie.

Bess poczuła lekkie muśnięcie na ramieniu, westchnęła sennie i ułożyła się wygodniej. Po chwili znów coś ją połaskotało, więc niechętnie odwróciła się na plecy i otworzyła jedno oko.

- Cześć - powiedział Will.
- Cześć - odparła cicho i uśmiechnęła się nieśmiało.
- Jak się czujesz? - zapytał ją tym swoim łagodnym tonem, który sprawiał, że chciało jej się płakać ze wzruszenia.
- Trochę dziwnie - przyznała szeptem i zaraz uśmiechnęła się szerzej.
- Ale w ogóle, to wspaniale.

Will podniósł się i podał jej szlafrok.

- Weź prysznic, jeśli chcesz. Ja przygotuję śniadanie.

Z początku chciał jej zaproponować, żeby wykąпали się razem, ale zrezygnował, gdy tylko spostrzegł, jak Bess jest speszona i jak wstydliwie zasłania się prześcieradłem. Jeszcze bardziej ją za to kochał. Na ten widok gotów był wyznać jej swe uczucia już teraz, wypowiedzieć prośby od razu. Zaraz jednak się pohamował.

Nie śpiesz się, powtarzał sobie. Nie popędzaj jej, nie nalegaj. Daj czas do namysłu.

- To mi przypomina przygotowania do niedzielnego obiadu. - Bess uśmiechnęła się do Abby i odłożyła na półkę pożyczoną od Keeley lokówkę. W studenckich czasach co niedziela w samo południe serwowano w akademickiej stołówce uroczysty obiad, do którego wszystkie uczennice musiały elegancko się ubrać, a przy stole prezentować nienaganne maniery.

Spojrzała na siebie w lustrze i zrobiła sceptyczną minę, Keeley zaś, która wkładała właśnie pożyczone od Abby rajstopy, z powagą popatrzyła na jej niepewną twarz i powiedziała:

- W porządku, Bess. Teraz musisz tylko przeczesać je palcami i lekko dosuszyć.

Bess posłusznie zastosowała się do polecenia i po chwili jej proste włosy zamieniły się w burzę niesfornych loków.

- O, właśnie - przyklasnęła Keeley, po czym zerknęła znacząco na Abby. - Teraz kolej na ciebie, kurczaku.

Wszystkie te starania i przygotowania podjęte zostały w związku z uroczystą kolacją, kończącą dzisiejszego wieczora zjazd absolwentek. Na

kolację można było zapraszać gości spoza uczelnianego kręgu i wszystkie trzy przyjaciółki skwapliwie skorzystały z tej możliwości.

Kiedy powiedziały sobie, która kogo zaprosiła na ten szczególny wieczór, nie były specjalnie zdziwione. Padły same znajome nazwiska: Vitalli, Lucas, Shedd. Po ostatniej nocy, kiedy to żadna z nich nie położyła się normalnie spać we wspólnym, chciałoby się rzec - panińskim pokoiku, domyślały się, że te siedem letnich dni w East Ridley odmieniło życie każdej z nich - pytanie tylko, czy odmieniło je na trwale. I czy na dobre, oczywiście.

Najbardziej niepewna siebie była, jak zwykle, Abby i to na niej skupiła się głównie uwaga Bess i Keeley. Obie uznały, że to może być najważniejszy dzień w jej życiu, i zrobiły wszystko, by przyjaciółka została gwiazdą balu - wymyśliły dla niej makijaż, fryzurę, a nawet zmusiły do kupienia nowej sukni z zielonego jedwabiu.

- Sama nie wiem... - Abby, już gotowa do wyjścia, z powątpiewaniem wpatrywała się w lustro. - Ta szminka jest taka jaskrawa...

- Nie widziałas jaskrawej szminki, kochana!

- No dobrze - Abby westchnęła z rezygnacją. - Przynajmniej nikt nie będzie się gapił na mój nos.

- Twój nos jest bardzo seksy, Abby - przekonywała ją Bess.

- Ale biodra...

- A biodra to w tej sukni prawdziwy lep na mężczyzn - przerwała jej Keeley. - Zwłaszcza, jeśli nimi trochę pokołysziesz.

- Zaufaj nam, mała - Bess roześmiała się z uwagi Keeley.

- Powalisz Joshuę na kolana i będziesz potrzebowała kolejnego tygodnia, żeby go otrzeźwić.

- Sama potrzebujesz otrzeźwienia, Bess - rzuciła Keeley.

- Och, naprawdę tak myślicie? - spytała z powagą Bess

- Och, naprawdę.

- Chyba... chyba macie rację - odparła, po czym wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem.

- On nam się podoba, Bess - dodała Abby już poważniej. - Wydaje mi się, że to wspaniały mężczyzna.

- Też mi się tak wydaje - zapewniła ją Bess. - Ale wiem, że nie jestem zbyt obiektywna, kiedy o nim myślę.

Kilka godzin później Bess przypomniała sobie słowa Abby.

Przyjaciółka powiedziała coś, co ona sama wiedziała niemal od początku, a do czego otwarcie bała się przyznać.

Wspaniały mężczyzna...

Tak, Will był wspaniały, myślała, patrząc, jak jej bohater rozluźnia krawat i wiesz go na oparciu krzesła. W jego towarzystwie czuła się bezpieczna, szczęśliwa. Właściwie nie była w stanie wymienić żadnej cechy Willa, której by nie lubiła.

Zamiast jednak wpaść w euforię z tego powodu, Bess była smutna. Jeszcze na początku kolacji wpadła w dziwną melancholię, która nie opuszczała jej przez cały wieczór. Skąd się wziął ten ponury nastrój, myślała. Przecież przyjęcie bardzo się udało; wszyscy mężczyźni polubili się nawzajem, znali się zresztą, jak to zazwyczaj bywa w małych miasteczkach. Cała szóstka nieźle się bawiła i naprawdę nie wydarzyło się nic, przez co mogłaby się czuć przygnębiona czy smutna.

- Chcesz kawy? - Will popatrzył na nią i uśmiechnął się z czułością.

Widział, że jest smutna, lecz nie wiedział dlaczego. Były trzy możliwe przyczyny: albo jest smutna, gdyż jutro będzie musiała pożegnać się z przyjaciółkami, albo dlatego że jutro będzie musiała pożegnać się z

nim, albo - tej ewentualności do niedawna nie brał w ogóle pod uwagę - Bess żałuje i wstydzi się wczorajszej nocy.

- Nie, nie chcę kawy, nie chcę... - powiedziała i zawiesiła głos, jakby zrozumiała wreszcie, czego naprawdę chce i za chwilę miała mu to oznajmić. Will spojrzał na nią i pojął bez słowa. W oczach ukochanej ujrzał nagły, niemal rozpaczliwy głód. W milczeniu wyciągnął rękę, a ona wstała i ujęła ją posłusznie.

Bess myślała, że wie, czego może się teraz spodziewać, lecz była w błędzie. Wszystkie jej doznania były jeszcze silniejsze, jeszcze gwałtowniejsze niż wczoraj. Ogarnęła ją burza zmysłów, a ona zatraciła się cała w miłosnym żywiole. Widziała oczy Willa, w których roztopiała się, tonęła; czuła jego ciągle niesyte dłonie, które wędrowały po jej spoconym ciele; czuła miarowe kołysanie, które narastało w niej i niosło ją coraz prędzej ku ostatecznej rozkoszy; słyszała chrapliwy szept, który powtarzał wprost do jej ucha:

- Bess... och, Bess... jesteś taka... cudowna!

Jej oczy błyszczały silnym blaskiem i Will czuł niemal zwierzęce pragnienie, by skończyć szybko, mocno, gwałtownie, już zaraz; to pragnienie zaś walczyło o lepsze z chęcią okazania jej najwyższej czułości i troski.

Jednak Bess również nie chciała czekać. Jej głód rozkoszy był zbyt silny i musiała natychmiast go zaspokoić. Wypchnęła z jękiem biodra do przodu i z satysfakcją ujrzała, jak Will traci panowanie nad sobą. Jeszcze sekunda, dwie i oboje wstrząsnęli się aż, przeszyci spazmem tak silnym, że zdawał się odbierać im życie i z ludzi zamieniać w anioły.

Później leżeli bez sił, zmęczeni, spoceni, lecz wciąż połączeni ze sobą. Gdy zaś ich serca odnalazły wreszcie spokojny, miarowy rytm, Will

znów się w niej poruszył. Spojrzała na niego, jeszcze oszołomiona, a w kącikach jej oczu pojawiły się łzy. Pochylił się, aby je scałować. Poglaskał delikatnie Bess po ramionach.

W końcu uśmiechnęła się do niego nieśmiało najpiękniejszym uśmiechem, jaki widział. Zachęcony, znów wziął ją w ramiona i czekał, aż mu odpowie, jednak ona spięła się tylko i usztywniła.

- Co się stało, kochanie?

Nie odsunęła się od niego. Z westchnieniem oparła głowę na jego torsie i powiedziała cicho:

- Dokładnie pięć lat temu straciłam dziecko.

Ból ścisnął mu gardło. Nie spodziewał się tego wyznania. A gdyby się spodziewał, pewnie nie przypuszczałby, że zareaguje na nie tak gwałtownie. Powściągnął emocje i zapytał najspokojniej, jak potrafił:

- Jak to się stało?

Opowiedziała mu o wszystkim i przyszło jej to znacznie łatwiej niż sądziła. Will słuchał w milczeniu, choć widać było, iż narasta w nim gniew. Nie gniewał się na nią - jego oczy patrzyły na Bess ze zbyt wielką miłością - zły był raczej na mężczyznę, który spłodził to dziecko, a potem nie zadbał ani o nie, ani o Bess. Fakt, nie wiedział o ciąży, ale to tym gorzej dla niego.

Wybrzmiały ostatnie słowa, zapadła cisza. Will przytulił ją mocniej do siebie i poczuł wilgotne rzęsy Bess pod swoim ramieniem.

- Ja też straciłem dziecko.

Szarpnęła głową i popatrzyła na niego zdumiona.

- Moja żona zaszła w ciążę - opowiadał pozbawionym emocji głosem - ale doszła do wniosku, że dziecko to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje. Sama postanowiła się go pozbyć. - Westchnął ciężko i przytulił Bess do

siebie. - Wiedziałem, że coś się stało, zresztą w końcu załamała się i powiedziała mi, co zrobiła. Następnego dnia wystąpiłem o rozwód.

Bess rozumiała jego ból. Żona, najbliższy człowiek, któremu ślubował przed ołtarzem, wyrzekła się dziecka, bo mogłoby przeszkodzić jej w karierze. Uznała, że sama rozwiąże ten „problem”, i rozwiązała go, nic nie mówiąc mężowi. Zgroza!

- Tak mi przykro - wyszeptała i zarzuciła mu ramiona na szyję. Przytuliła głowę do jego piersi i zmoczyła ją strumieniem łez.

Przez kilka minut leżeli nieruchomo w milczeniu, wzajemnie czerpiąc pociechę z wzajemnej bliskości. Will pierwszy zdecydował się przerwać tę ciszę.

- Bess? - usłyszała jego spokojny, głęboki głos. - Nie jedź jutro do Bostonu. Zostań ze mną jeszcze tydzień.

Powoli uniosła głowę i popatrzyła na niego uważnie.

- Tylko tydzień - powtórzył.

- Nie wiem...

Jeszcze zanim się odezwała, wiedziała, że to żalosna i nic nie znacząca odpowiedź. Mimo to, po długiej i pełnej napięcia ciszy, Will skinął tylko głową, pocałował Bess delikatnie w czoło i szepnął z czułością:

- Idź spać, kochanie. Porozmawiamy o tym rano.

Zasnął niemal natychmiast. Ona zaś leżała w ciemnościach i czuła, jak ogarnia ją narastający lęk. Nietrudno było się domyślić, na co liczył Will, prosząc ją, by została jeszcze na tydzień. To nie był przelotny kaprys, bo też Will nie należał do kapryśnych mężczyzn. Miał wobec niej poważne zamiary.

Starannie wybrał odpowiednie miejsce do osiedlenia się na stałe, poświęcił dwa lata, by znaleźć właściwy dom. Urządził klinikę i postawił boksy dla koni, które zamierzał tu sprowadzić jesienią z Nevady. Wszystko dokładnie zaplanował, a teraz wymyślił sobie, że właśnie ona, Bess Hilliard, będzie z nim dzielić zmartwienia i troski przez następne lata.

Czy to możliwe, aby tak odpowiedzialny człowiek mógł podjąć tak poważną decyzję zaledwie po tygodniu znajomości?

Bess nie wątpiła w jego szczerłość, wiedziała, że byłby wierny i uczciwy, że kochałby ją i chronił; i że byłaby dla niego najważniejszą istotą na świecie. Wiedziała, że Will ją kocha, i ona kochała jego. Nie wątpiła w Willa. Wątpiła w siebie.

Nie była pewna, czy chce go kochać. Nie była pewna wspólnej przyszłości. Bała się wreszcie, czy on będzie z nią szczęśliwy. W końcu ona też wiele poświęciła dla kariery, jak jego żona...

Wyśliznęła się z łóżka i zaczęła zbierać po ciemku rozrzucone po podłodze ubrania.

- Nieładnie wychodzić bez pożegnania, Bess.

Podskoczyła, przerażona zarówno nagłym błyskiem światła, jak i głosem Willa. Rzuciła ubrania, odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Myślałam, że... tak będzie najlepiej.

- Dlaczego? - Usiadł na łóżku.

- Dlatego. - Wskazała na wygniecioną pościel i porozrzucone ubrania. - Przecież to tylko zwykła żądza, gorączka pobudzonych zmysłów. Są wakacje, więc zrobiliśmy sobie mały urlop od rzeczywistości. Bo w prawdziwym życiu nie bylibyśmy tak szczęśliwi.

- Bylibyśmy.

- Nie - pokręciła głową i uśmiechnęła się smutno. - Rozstańmy się teraz, w zgodzie. Będziemy mieli miłsze wspomnienia.

- Nie chcę.

- A jeśli rzeczywistość nie spełni twoich oczekiwań?

- Myślę, Bess, że je przerośnie. A jeśli nawet się tak nie stanie, to i tak warto zaryzykować.

- Znów popełniasz ten sam błąd, Will. Wiążesz się z kobietą nastawioną na karierę.

Poderwał się z łóżka, stanął przy niej i chwycił ją mocno za ramię.

- Jestem wystarczająco dorosły, żeby wiedzieć, co robię, Bess. -

Potrząsnął nią lekko. - Zapewniam cię, nie jesteś kopią mojej byłej żony.

Ostatkiem sił zdławił w sobie chęć, aby potrząsnąć nią ponownie, jeszcze mocniej. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Czuł żal, niedowierzanie i zwyczajną wściekłość. Jak ona mogła być tak głupia? Jak mogła niczego nie rozumieć?

- Do cholery, Bess, ja cię kocham! - wyrzucił z siebie z desperacją.

- Wiem - powiedziała słabym głosem, a kiedy Will puścił ją, porażony tym wyznaniem, odsunęła się od niego i znów zaczęła zbierać ubrania. Wiedziała, że rozegrała to fatalnie, głupio, beznadziejnie i dziecinnie, ale było już za późno, by cokolwiek zmienić.

- Do diabła, Bess! Skoro to wiesz, to dlaczego uciekasz?

- Tak po prostu będzie najlepiej - odparła wymijająco i w tej samej chwili poczuła, że nie ma siły się dłużej spierać. - Bo nie jestem do końca sobą, kiedy przebywam w twoim towarzystwie. To mnie przeraża, Will.

- Nie zamierzam cię zmieniać - powiedział i nieporadnie spróbował się uśmiechnąć. - Podobasz mi się taka, jaka jesteś, i naprawdę wiem, czego chcę. Chcę przyjaciółki, a nie pięknego ciała, bym mógł sobie na

nim poużywać. Chcę kobiety, która ma własne życie, swoje sprawy, ambicje, pasje, swoich przyjaciół... Kobiety, dla której nie będę całym światem, ale w świecie której jest miejsce dla mnie i dla naszych dzieci. Naszych wspólnych dzieci, Bess. - Wyciągnął do niej ostrożnie rękę. - Chcę po prostu ciebie.

Patrzyła na niego bezradnie, a łzy spływały po jej policzkach. Po chwili wyciągnęła przed siebie rękę, lecz w tym właśnie momencie na łóżko wskoczył Elektroluks i wsunął swój łebek pod jej palce. Pogłaskała go, kot przewrócił się z lubością na grzbiet i wtedy zauważyła - to nie był Elektroluks, to była kotka!

- To nie jest ten kot, którego do ciebie przywiozłam! - Popatrzyła na niego oskarżycielsko. - Tamten był samcem, a to... Co się z nim stało?

- Nic mu nie jest, dochodzi do siebie - zapewnił ją pośpiesznie Will. - Chłopcy, którzy cię tu skierowali, odnaleźli jego właścicieli. Jakies dziesięć minut po twoim wyjściu już tu byli. Elektroluks jest u siebie, a ta kotka... wziąłem ją ze schroniska - uśmiechnął się niepewnie. - W tak szybkim czasie nie mogłem dostać nic lepszego.

- Po co to zrobiłeś?

- Ponieważ tylko w ten sposób mogłem sprawić, byś do mnie wróciła.

To wyjaśnienie wprawilo ją w nagłą złość.

- Więc ogoliłeś biedne zwierzę i złamałeś mu łapkę, żeby załatwić sobie wakacyjny romansik?

- Daj spokój, Bess. Futro mu odrośnie, a ten gips to kamuflaż, nic mu nie będzie. W zamian za te drobne niedogodności ma dom.

Bess popatrzyła na niego szyderczo. Wiedziała, że szuka tylko dobrego pretekstu, i to oszustwo przeważało szalę - czując pod powiekami

szczypiące łyzy, bez słowa złapała leżący na ziemi but i uciekła z sypialni na dół.

Will zaklął i ruszył za nią. Wciągnął szybko spodnie, zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie, i wpadł do kuchni, gdzie Bess zatrzymała się przed rzędem stojących na blacie słoików.

- Mogę wziąć jeden? - zapytała oficjalnym tonem. Wzruszył ramionami i wskazał na nie przyzwalającym gestem, ona zaś, nie patrząc na niego, wrzuciła do torby słoje z galaretką.

- Weź sobie jeszcze - burknął i Bess zgarnęła jeszcze trzy słoje.

Przez chwilę stali w milczeniu, wreszcie Bess wzruszyła ramionami i powiedziała pozornie obojętnym głosem:

- No cóż, to chyba wszystko. Do widzenia. - Przeszła przez kuchnię i otworzyła drzwi, on zaś stał, nie zdolny się poruszyć.

- Bess, zaczekaj! - krzyknął, gdy była w już drzwiach. Zatrzymała się i przez chwilę jego serce wypełniła nadzieja, że Bess jednak zostanie. Ona jednak uśmiechnęła się tylko do niego niewyraźnie, powiedziała cicho:

- Kocham cię - i po chwili już jej nie było.

SOBOTA

Bess zaparkowała swoje auto w garażu pod budynkiem i zgasila silnik. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Zamarł monotony hałas wycieraczek, które włączyła zaraz za East Ridley, kiedy zaczęło padać, i które pracowały nieustannie przez całą drogę do Bostonu. Teraz pojedyncze krople spływały powoli po szybie, Bess zaś widok ten

nieodparcie kojarzył się ze łzami. W końcu westchnęła, odpięła pas i poszła do swojego mieszkania.

Nie zapaliła światła. Weszła prosto do kuchni i wyciągnęła z walizki dwa ostatnie słoiki galaretki. Pozostałe dwa podarowała Keeley i Abby, najlepszym przyjaciółkom, których przyjaźń ceniła sobie teraz stokroć bardziej niż kiedyś.

Wkrótce znów się z nimi spotkam, myślała. Na weselu. Nie wiadomo tylko, czyje będzie wcześniej, Keeley czy Abby. Obie bowiem tuż przed wyjazdem doszły do wniosku, że skoro nie da się cofnąć czasu i przeżyć życia na nowo, należy cofnąć się do momentu, w którym podjęło się błędną decyzję, i pójść tym razem we właściwym kierunku.

Bess była szczęśliwa z tego powodu, ale jej szczęście zaprawione była goryczą. Cała ta czwórka - Keeley i Dominik, Abby i Joshua - zdecydowała się wziąć życie w swoje ręce bez niepewności czy tchórzostwa. Natomiast ona, Bess, stchórzyła. Tak, stchórzyła i nie miała już co do tego żadnych wątpliwości.

Usiłowała tłumaczyć sobie, że postąpiła słusznie - to, co miało czekać ją u boku Willa, było zbyt piękne, aby mogło okazać się prawdziwe. Musiałaby być kompletną idiotką, żeby mu wierzyć, gdy przekonywał ją, że czeka ich wspólna przyszłość. Ale była też idiotką, że nie wierzyła tak dobremu i mądrym mężczyźnie.

To tylko zegar biologiczny tyka bezlitośnie i każe zapominać o zdrowym rozsądku, próbowała przekonać sama siebie. Czy ma słuchać rozumu, czy hormonów? Czy jednak właśnie dzisiaj, w piątą rocznicę śmierci dziecka, nie powinna zwrócić uwagi na to tykanie?

Bo to przecież nie tylko hormony, nie tylko zegar biologiczny odpowiedzialny był za stan, w jakim się znalazła. Powiedziała Willowi, że go kocha, i była to prawda. Prawda, która ją przerażała.

Pogłaskała słoik, który trzymała w dłoni. Wbrew temu, co jeszcze dziesięć lat wcześniej głosiły babskie czasopisma, kobieta nie może mieć wszystkiego, myślała z goryczą. W życiu niezbędne są kompromisy, kompromisy między karierą a rodziną. Ona sama wiedziała o tym najlepiej.

Przez długie lata jej życie biegło według ściśle określonego planu i samo myślenie o jakichkolwiek zmianach ją przerażało. A przecież uległoby całkowitej przemianie, gdyby przyjęła niewypowiedzianą propozycję Willa. Nie mogła go prosić, aby pojechał z nią do Bostonu, bo Will nigdy nie byłby szczęśliwy jako „miastowy” weterynarz. To zaś oznaczało, że musiałaby zostać w East Ridley i jej życiowe cele nigdy by się nie ziściły.

Ale przecież mogła znaleźć sobie nowe cele, może jej życie nabrałoby wtedy sensu. Czasem ludzie trzymają się kurczowo pewnych rzeczy, gdyż zbyt wiele poświęcili dla ich zdobycia i za nic w świecie nie chcą się przyznać, że może nie warto było się poświęcać.

Czy to właśnie był jej przypadek?

Zamknęła oczy i westchnęła ciężko. Tydzień temu znalazłam się na drugim brzegu tęczy, pomyślała. Po raz drugi w życiu. Ten pierwszy raz zdarzył się piętnaście lat wcześniej, kiedy przyjechała do Bostonu i rozpoczęła swoją karierę. Tu zdarzyły się jej rozmaite przygody, a ona nie przegapiła żadnej z nich. Może więc nadszedł czas, by jeszcze raz przekroczyć świetlisty łuk? Przełamać lęk i odmienić wszystko?

No tak, tylko czy za dwadzieścia lat nie będzie żałowała swojego wyboru? Tego, że zrezygnowała z awansu na prezesa banku, który praktycznie miała już w kieszeni?

Może jednak już dłużej nie musi się sprawdzać? Prezesura to jedno - a brak dzieci? Męża? Czy nie mogłaby się zadowolić nieco mniej ambitnym celem, który... który mógł dać jej o wiele, wiele więcej?

Och, gdyby tylko Will chciał chwilowego związku, w który Bess mogłaby się zaangażować, a w przyszłości wrócić spokojnie do swoich planów... Gdyby nie musiała zrobić tego, co Keeley i Abby - stanąć na rozstaju dróg i wybrać jedną z nich, bez możliwości odwrotu...

Gdyby jednak tak było, jej związek z Willem nie byłby tym, czym był.

No i bądź tu mądry, człowieku.

Uniosła w górę słoik i obejrzała go pod światło, wpadające przez okno z ruchliwej ulicy.

- Nie ma to jak w domu - westchnęła.

EPILOG

Warkot nadjeżdżającego samochodu od razu poderwał go na nogi. Dlaczego tak zareagował? Przecież już dawno wyprał używany przez Bess szlafrok, wygotował pościel, a słoiki z galaretką ustawił w najciemniejszym zakątku spiżarni. Usunął niemal wszystkie ślady krótkotrwałej obecności Bess w jego domu, a mimo to wciąż dręczyło go dojmujące poczucie straty, zupełnie jakby po jej zniknięciu ten dom przestał być prawdziwym domem.

Usłyszał stukanie do kuchennych drzwi. Po co przyszła tym razem? Co chce mu powiedzieć? Pozwolił jej odejść, gdyż nie wierzył, że odeszła na zawsze. Nie mogłaby. Potrzebowała tylko czasu, aby wszystko przemyśleć. Nie dopuszczał do siebie myśli, by mogło być inaczej.

Pukanie stało się bardziej natarczywe. Will podniósł się z krzesła, przekręcił zamek, nacisnął klamkę.

- Właśnie skończyło mi się masło orzechowe - oznajmiła Bess z niewinną miną. Tym razem nie miała na rękach rannego kota, tylko słoik z galaretką z rajskich jabłuszek.

- Chyba mogę się z tobą podzielić - powiedział ostrożnie, usiłując zapanować nad emocjami. Przytrzymał drzwi, a ona weszła do środka i zatrzymała się w progu. - Co to? - Dopiero teraz zauważył stojące na ziemi, ciężkie z wyglądu pudło.

- Moja maszyna do szycia.

- Czy to prezent?

- Chyba raczej pożyczka. Trzeba uszyć firanki do kuchni.

Will zrobił kilka kroków w głąb pomieszczenia, Bess weszła za nim.

- Pożyczka? Na jakich warunkach? - Popatrzył na nią uważnie.

- Preferencyjnych. Żadnych odsetek, żadnych miesięcznych płatności przez pierwsze pięćdziesiąt lat. W grę wchodzi jednak inne rodzaje płatności - ostrzegła go.

- Jakie? - zapytał równie rzeczowym tonem.

- Dzieci, przynajmniej dwójka. Chłopcy albo dziewczynki. Albo jeden chłopiec i jedna dziewczynka. Nie jestem wybredna.

Will zastanawiał się przez chwilę.

- Sam nie wiem - powiedział w końcu - tyle banków i instytucji oferuje teraz pożyczki. Większość stara się przyciągnąć klienta jakąś dodatkową ofertą. Może dasz mi toster? - zaproponował.

- Na pewno nie - odparła ze śmiechem. - Ale co powiesz na towarzystwo? Miłość?

- Seks?

- To też.

- Chciałem się tylko upewnić - uśmiechnął się lekko. - A co się stanie po pięćdziesięciu latach?

- Zawrzemy nową umowę.

- Brzmi nieźle - Will pokiwał zgodnie głową. - Gdzie mam podpisać?

Wyciągnęła lewą dłoń, po czym z wahaniem wskazała na serdeczny palec.

- Tutaj.

Wyciągnął rękę, jakby chciał przypieczętować zawartą umowę, zaraz jednak porwał ją w ramiona i zamknął w mocnym uścisku.

- Zdążyłaś - mruknął. - Dałem ci tydzień. Potem miałem ruszyć twoim tropem.

- Powinam była poczekać. Wynegocjowałamby lepsze warunki.

- Mowy nie ma - szepnął i pocałował ją mocno. A potem wziął ją na ręce i z ukochaną w ramionach ruszył schodami do sypialni.

Gdy leżeli później w objęciach, zmęczeni miłością i odurzeni szczęściem, Will podniósł głowę i zajął Bess w oczy.

- Jesteś tego pewna? - zapytał poważnie. - Że chcesz zostawić Boston, swój bank, karierę; że chcesz zadowolić się małym miasteczkiem, a może małym bankiem?

- Na pewno małym bankiem - uśmiechnęła się tajemniczo.

- Jestem pewna, Will. Kocham cię. I w końcu zdałam sobie sprawę, że Boston wcale nie leży na piękniejszym brzegu tęczy. - Roześmiała się cicho na widok jego zdumienia i pocałowała go. - Później ci wyjaśnię - szepnęła. - W pierwszą rocznicę pożyczki.